**Rok VII.** Lwów, Niedziela dnia 25. Stycznia 1880 r. **Tom X.**

# TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 4.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
**W KSIĘGARNI POLSKIEJ**
*L. 14 plac Halicki.*

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

## W KWESTJI ŻYDOWSKIEJ.

Między sprawami publicznemi, które w ostatnich szczególnie czasach umysły głębiej sięgające zajmywały, stoi na pierwszym planie kwestja wielkiej doniosłości, mająca dla nas ważność pierwszorzędną pod względem narodowym, społecznym i ekonomicznym, a więc kwestja w całem tego słowa znaczeniu polityczna. Wiemy bardzo dobrze, iż przystępując do jej omówienia, nadużywamy cokolwiek cierpliwości naszej i tak sprawami politycznemi za nadto zaprzątniętej publiczności i nie możemy prócz tego oprzeć się obawie, że mimo najszczerszego zamiaru przestrzegania ścisłej przedmiotowości, spotkamy się z silną, łatwo w namiętność wpadającą, opozycją. Ale w naturze każdej sprawy publicznej leży już, że zapatrywaniom do niej się odnoszącym, nie wszyscy zarówno przyklasnąć mogą, a nam wystarczy zupełnie, jeżeli tylko uczciwy nasz zamiar znajdzie uznanie.

Nawet gdyby napis na artykule naszym nie zdradzał tego, szanowny czytelnik domyśli się, że chodzi nam o tę sprawę, którą pod nazwą kwestji żydowskiej w licznych już rozbierano dziełach, broszurach i rozprawach. Zbiegiem okoliczności, w konsekwencji wypadków historycznych i ściśle połączonego z nimi rozwoju naszego społeczeństwa, odróżniającego się pod wieloma względami od rozwoju społeczeństwa w całej reszcie Europy, żydzi stanowią u nas znaczniejszą niż gdzieindziej część ludności, uregulowanie ich stotunków do reszty społeczeństwa bardziej nas więc niż innych ochodzi, i dla tego kwestja żydowska tak wielkie ma dla nas znaczenie. Jeżeli w sprawie tak ważnej, tak obszernie już omówionej, zabieramy jeszcze raz głos, to czynimy to dlatego, że w wielkiej liczbie dzieł o niej traktujących znaleźliśmy wprawdzie wiele trafnych spostrzeżeń, wiele dat, statystycznych z rzadką zestawionych pilnością i sumiennością, spotykaliśmy się z sądem bezstronnym i z historyczną erudycją, jednem słowem, znaleźliśmy bardzo wiele dobrego i pouczającego, ale obok tego wiele mylnych dat, fałszywych informacji, a nadewszystko pewną naiwność w pojmowaniu spraw wewnętrznych żydowstwa, czerpaną z książek, lecz nie z życia. Zadziwiającą jest przedewszystkiem ta okoliczność, że daremnie szukaliśmy tam pozytywnych rad i wskazówek prowadzących do załatwienia tej sprawy i to załatwienia w danych warunkach możliwego i z jak największą dla nas korzyścią, jednem słowem nie mogliśmy dopatrzyć się odpowiedzi na pytanie — nie znaleźliśmy projektu rozwiązania kwestji żydowskiej. A jednak to jedynie a nie niepłodne w pomysły rekryminacje, może być celem pożytecznej pracy politycznej. Zdaje nam się także, że niewłaściwie bywa ta kwestja traktowana przez niektórych jako kwestja wyznaniowa. Musimy na wstępie już oświadczyć, że z tem zadaniem zgodzić się nie można. Kwesja żydowska powstała wprawdzie na podstawie odwiecznego przedziału, jaki różnica wyznań pomiędzy chrześciańską a żydowską ludnością wytworzyła, ale sama przez się jest ona kwestją *par excellence społeczną*. Najlepszym tego dowodem, że właśnie teraz, kiedy w całym świecie cywilizowanym zapanował z małemi odróżnieniami w stopniu, pewien indyferentyzm religijny, że właśnie teraz i to w wielu krajach równocześnie, bywa ona na porządek dzienny stawiana. Niebyły to religijno-dogmatyczne motywa, które w Rumunji poruszały opozycję przeciw równouprawnieniu żydów i we wszystkich nowoczesnych krucjatach niemieckich nic o takich motywach nie słychać. Kiedy z początkiem roku 1873 kataklizmat ekonomiczny rozbił w puch zamki na lodzie zbudowane, które w gruzach swych tysiące istnień rodzinnych pogrzebały, ludność, gwałtownie ze „snu złota“ przebudzona, odurzona wpierw a potem zrozpaczona, przecierając oczy poczęła szukać winowajcy i przypomniano jej, że istnieje pewna dotąd z całym narodem nie połączona klasa ludzi, która przeważnie sprawy ekonomiczne dzierży w swem ręku, jej przypisywano winę tej klęski, pociągano do odpowiedzialności i oto kwestja żydowska w Niemczech. Nie wchodzimy w to, czy zarzut ten słuszny, czy nie, to jednak pewna, że pociski i zarzuty wymienione przeciw żydom nie tkwią bynajmniej w religijnych ich przeciwników przekonaniach. I dobrze jest, że rzeczy tak stoją, bo nie podlega żadnej wątpliwości, że gdyby zradzający się antogonizm polegał na różnicy przekonań religijnych usunięcie go byłoby nie tylko trudne ale bodaj czy nie niemożliwe. A nam właśnie o usunięcie tego antagonizmu a mianowicie o usunięcie jego przyczyn w dobrze pojętym interesie naszego kraju i naszego społeczeństwa chodzić powinno.

„Kwestja żydowska“ powiedział jeden z polskich mężów stanu, zajmujący dzisiaj bardzo wysokie stanowisko polityczne, w jednej z swoich mów kandydackich, jest raną otwartą w naszem ciele“..... Porównanie to trafne i pouczające. Organizm cały cierpi z powodu takiej rany a komu na zdrowiu jego zależy, ten nie ucieknie się do energicznych, ale bardzo ryzykownych eksperymentów, ale cierpliwie wytrwale i rozumnie zastosuje wpierw cały zasób środków gojących i uśmierzających. Tym twierdzeniem nacechowaliśmy o ile nam się zdaje wyraźnie tendencję i zadanie, jakiej w tej ważnej kwestji zakreślić sobie powinniśmy.

---

Otrzymaliśmy w kwestji żydowskiej artykuł, napisany przez osobistość zajmującą wśród żydów wybitne stanowisko. Przekonani, że tylko obustronna dyskusja może dostatecznie wyjaśnić tę tak ważną dla nas sprawę — podajemy wspomniony artykuł dosłownie i otwieramy szpalty naszego pisma dalszej w tej kwestji polemice.

(Przyp. Red.)

# DZIWNE KARJERY

## POWIEŚĆ

*Jana Lama.*

*(Ciąg dalszy.)*

—To twoja sprawka!—rzekł nasz bohater, patrząc na Smiechowskiego z wyrazem gorżkiego wyrzutu.

— Ale dobra, nieprawdaż? — odparł »krotochwilnik narodowy«, śmiejąc się tak swobodnie, jak gdyby była mowa o czynie, zasługującym na szczególne uwielbienie ze względu nietylko na okazaną przy nim przebiegłość i zręczność, ale także dla wielkiej swojej wartości moralnej.

— Przyznam ci się, że mojem zdaniem nie bardzo to... właściwa rzecz, używać środków agitacyjnych tego rodzaju, i składać odpowiedzialność na kogo drugiego. Wiedziałeś przecież, że wszystko spadnie na mnie, i że nie będę mógł nawet bronić się, gdy mię nazwą podłym, zaprzedanym, i Bóg wie czem jeszcze, jak to się stało wczoraj w sali wyborczej... Jest to postępowanie... niedobre, i gdybyś wiedział, ile mi zrobiłeś złego...

— No, no, uspokój się—zawołał Smiechowski, rozbrojony żalem przyjaciela, który mimo całej swojej boleści nie umiał nawet rozgniewać się ani znaleść dosadniejszych wyrazów na to, co chciał wypowiedzieć. — Już ja to wszystko naprawię i wezmę wszystko na siebie przy najbliższem spotkaniu z Kluszczyńskim, Wtorkowskim, albo Kosturskim, i zobaczysz, jak cię będą przepraszali! Co się zaś tyczy podłości, zaprzedania, i innych zarzutów, o których mówisz, zobaczymy, czy będą mieli odwagę mnie coś podobnego cisnąć w oczy, skoro im wyjaśnię, co *oni* sami robią, i komu *oni* służą. Ot, chodź ze mną, pogadamy o tem obszerniej.

To mówiąc, wziął p. Smiechowski bohatera naszego pod ramię, i obaj puścili się wolnym krokiem w stronę parku miejskiego. Zaledwie doszli na róg ulicy, gdy naraz z poza węgła, wyleciała dyplomatyczna bródka p. Wtorkowskiego, spiesząca — oczywiście wraz z przynależnem do niej indwiduum i jego okularami, w nieznaną stronę miasta, w jakimś nieznanym a nader ważnym interesie politycznym. Mimo całego tego pospiechu zoczył p. Wtorkowski naszych znajomych i stanął jak wryty. Po chwili namysłu, zrobił znak Smiechowskiemu, który puścił ramię Wołodeckiego i zbliżył się ku dyplomatycznej bródce.

— Jak pan możesz—rzekł tajemniczo p. Wtorkowski, patrząc z pod oka pogardliwie na Stanisława — jak pan możesz obcować z takim podłym człowiekiem?

— Z jakim podłym człowiekiem, jeżeli wolno zapytać?

— Z tym nikczemnikiem Wołodeckim! Wszak wiesz pan, co zrobił wczoraj — sfałszował nam listę, i upadliśmy na zgromadzeniu. Ale niech-no ja pochwycę tego łotra! Połamię mu wszystkie kości!

— W takim razie nie będzie człowieka, któryby miał kości połamane niesłuszniej, i przez mniej strasznego przeciwnika. (Było to aluzją do małego wzrostu i nieatletycznej budowy p. Wtorkowskiego.) Wołodecki winien tylko tyle, co wszyscy, tj. że nie przejrzał poprzednio list, które rozdawał, inaczej byłby spostrzegł, że wyjąłem mu zręcznie z kieszeni pakiet, któryście mu dali, a natomiast wsunąłem inny. Zresztą, nie obwiniajcie nikogo, i siedźcie cicho, bo inaczej pokaże się, że grono zacnych, światłych i niezawisłych obywateli, stanowiące waszą partję, głosuje na oślep, nie wiedząc nawet, komu daje swoje głosy.

— Panie, panie, czy to prawda?—zawołał p. Wtorkowski, przechodząc przez ulicę i zbliżając się tym sposobem do Stanisława.—Czy to prawda, że p. Smiechowki wykradł panu nasze listy i podsunął inne?

— Ja nic nie wiem—odrzekł Wołodecki —ale skoro p.Smiechowski sam to powiada...

— A, powiada, powiada! Mój panie — ciągnął dalej p. Wtorkowski czupurząc się i podskakując ku Smiechowskiemu — jeżeli tak jest w istocie, to pan jesteś podłym nikczemnikiem, pan, pan, pan!

— Kto?—zawołał »krotochwilnik narodowy«, podnosząc laskę.

— Pan!—krzyczał Wtorkowski, wykonując jednocześnie zadziwiająco szybki ruch gimnastyczny, dzięki któremu znalazł się o dziesięć kroków od krotochwilnej laski.

—Kto?—zapytał znowu Smiechowski, postępując zwolna naprzód.

Zadaniem dyplomacji nie jest czynny udział w walce. Uznał to p. Wtorkowski, i rozpoczął szybko odwrót, przyczem atoli, za przykładem starożytnych Partów, i ku wielkiemu zdumieniu przechodniów, obracał się od czasu do czasu i miotał pociski na przeciwnika wołając: Pan, pan, pan! Jakiś dorożkarz, nie wtajemniczony w pobudki tego dziwnego zachowania się, wpadł na domysł, że ma przed sobą obywatela, wracającego do domu po zbyt obfitem śniadaniu, zatrzymał konia i zapytał usłużnie.:

— Może podwiozę?

P. Wtorkowski chwycił się tej myśli, wskoczył do powozu, i tym sposobem nie uszedł, ale ujechał z placu boju.

— No — rzekł p. Smiechowski do Stanisława — teraz możesz być spokojnym, za parę godzin Kluszczyński dowie się o wszystkiem, i będziesz zupełnie zrehabilitowanym, i zostanie tylko dzisiejszy numer *Orędowniczki*, który będzie świadczył przeciw tobie, i który w tej chwili zapewne już jest w druku i niezawodnie przedstawia cię jako najokropniejszego łotra pod słońcem. Ale nie rób sobie nic z tego, pojutrze wybielą cię na nowo, i będziesz mógł znowu wpatrywać się od czasu do czasu w czarne oczy panny Natalji i wzdychać. A propos, powiedz no mi, czy doprawdy chcesz się żenić?

— Żenić — się... odparł nasz bohater, dumając — o do tego jeszcze daleko!

— Może nie tak daleko, jak się zdaje. Panna już dość dawno jest na wydaniu, a kandydatów do stanu małżeńskiego coraz mniej na świecie, bo płeć brzydka mądrzeje niesłychanie. Masz zapewnioną pozycję, jesteś chłopak przystojny, utalentowany, posiadający wszystkie warunki zapewniające przyszłemu pantoflowi nieograniczoną władzę; potrzeba tylko przypadku, abyś się odważył oświadczyć pannie twoją miłość i poprosić rodziców o jej rękę, a rzecz pójdzie jak z płatka!

Głębokie westchnienie było jedyną odpowiedzią Stanisława. Przyjaciele usiedli na ławce w parku miejskim, dokąd już byli zaszli.

— Czy to westchnienie mam tłumaczyć sobie jako brak wiary w to, co mówię, czy jako objaw ukrytego powątpiewania o szczęściu, które cię czeka w razie, gdyby się ziściły twoje marzenia? W pierwszym wypadku powiem ci: miej odwagę i spróbuj, a zobaczysz, że mam słuszność — w drugim, krzyknę hura! przyjaciel mój Stanisław jest ocalony! No, mów!

— Z tobą-bo nie opłaci się mówić na serjo, jakkolwiek bowiem mam przekonanie, że w gruncie jesteś czem innem; to przybrałeś rolę nieubłaganego sceptyka i cynika, z której nie chcesz wypaść ani na chwilę.A przecież,nie zawsze byłeś takim!

P. Władysław zmiękł — przypomniały mu się młode bardzo lata, i zadumał sie na moment, spoglądając machinalnie w koło. Park był cichy i bezludny, bo było już blizko południa. W dali, na dużych gazonach i na ścieżkach piaskiem wysypanych, światło słoneczne przybierało ten jakiś charakter łagodny, jaki ono ma w polu, i jakiego nie ma nigdy w większem mieście, gdzie przemieniając bruki i place na fragmenta Sahary, staje się dokuczliwem i zabójczem, zamiast dobroczynnem i ożywiającem. Bliżej, w cieniu, widać było jeszcze krople rosy porannej na trawie, i kilka kwiatów urozmaicało jednostajną gdzieindziej zieloność. Były to kwiaty niegodne parku stołecznego, i wyrosły tam wbrew nadzorowi i cyrklowi ogrodnika. Po prostu ptak, albo wiatr, zaniósł przypadkiem w te strony parę ziarnek groszku, zwanego pospolicie »pięknym Jaśkiem«; groszek wyrósł, uchwycił się tyczki wsadzonej w ziemię dla wycyrklowania jakichś kunsztownych ozdób, później zaniedbanych, i zakwitł. Otóż kwiatki tego rodzaju, rzadko widywane w mieście, mają dla ludzi wychowanych w wiejskiem otoczeniu tę moc czarowną, że czasem przywołują im na pamięć obrazy z lat dawno ubiegłych, w innych chwilach zatarte i spoczywające na dnie — omal nie powiedziałem: na strychu — duszy. Każdy z nas ma jakiś taki kwiatek, najczęściej bardzo skromny. Czasem bywa nim narcyz lub tulipan, czasem aster, piwonia, jaskier lub słonecznik. Dla p. Smiechowskiego musiał nim być »piękny Jasiek«, bo naraz chwycił Stanisława za rękę i zapytał go niespodzianie:

— Czy pamiętasz, w Stawiczanach, tę altankę w waszym ogródku?

— Czy pamiętam!—odparł Wołodecki z rozmarzonym uśmiechem, wskazując ruchem głowy zdradziecki kwiat groszku. — Tę altankę, przez której zielone sploty całowałeś całemi godzinami rączkę panny Alojzy, podczas gdy ja zajadałem chleb z masłem, siedząc w furtce, i udawałem, że uczę się konjugacji łacińskich, a właściwie czuwałem tylko, ażeby was przestrzedz, gdyby kto nadszedł! A pamiętasz te bileciki na różowym papierze, które ja, pauper dziesięcioletni przemycałem między tobą, a panną

Alojzą? A pamiętasz te romantyczne zwierzenia się dorosłego już niemal pana Władysława, którego mały Staś miał zaszczyt być powiernikiem? Ho, ho. Jaki ja dumny byłem z tych sekretów, które tak bezpiecznie spoczywały w mojem wiernem, dziesięcioletniem sercu, i z tego, że jakkolwiek zaledwie *studiosus parvae*, wiedziałem już, jak szalenie kochają się panowie słuchacze filozofji!

— To znaczy, innemi słowy, że jeżeli kiedy zrobisz głupstwo, to właściwie ja będę winien temu, bo ja ci przed czasem nabiłem głowę temi niedorzecznościami?

— Dla czego »głupstwo«, dla czego »niedorzeczności«, mój Władysławie! A potem, nie tyś winien, ale altanka, te grządki z kwiatami, tak starannie utrzymane, ten dworek taki schludny i zaciszny... Rodzice moi tak byli w nim szczęśliwi... Nigdy nie mogę oprzeć się wrażeniu, że gdzie jest taki dworek, i taka altanka, i taki ogródek, tam mieszkają ludzie szczęśliwi i dobrzy. I — wiesz, Kluszczyńscy mieszkają na przedmieściu, a tak u nich miło, tak swojsko. Raz, pamiętam, padał deszcz ciepły, i panna Natalja prosiła mię, ażebym jej pomógł poprzenosić wazonki do ogródka. Podawała mi je z pokoju, przez okno, przed którem wił się na drutach taki sam groszek... Tak mi się żywo przypomniały Stawiczany, nasza altanka, ty, i panna Alojza, że nie wiem sam, jak oparłem się pokusie pocałowania rączki, która mi podawała wazonki. Popychało mię coś do tego, ale... nie śmiałem.

— I dobrze zrobiłeś, — zawołał p. Władysław, wstając i wstrząsając się, jak gdyby miał nadzieję pozbycia się tym sposobem jakich myśli, którym odmawiał gościny w swojej głowie. — Chodźmy ztąd... niechcę altanek, ani dworków, ani groszku. Ot, chodź do mnie, pokażę ci jak wygląda altanka i wszystko co do niej należy, po latach siedmnastu?

— Zapewne, dawno już powinieneś był to zrobić, i przypomnieć mię swojej żonie. Toż od pani Aloizy należy mi się filiżanka doskonałej kawy z kożuszkiem, za moją wierną, uczciwą i trzeźwą służbę w czasie pierwszej waszej miłości!

— A niech cię duchy Apicjusza i Lukulla bronią od tej nagrody! Chodź, chodź, zobacz!

— Jeżeli to ma znaczyć, że pożycie wasze domowe nie jest najlepsze, to może lepiej będzie, jeżeli sobie i mnie oszczędzisz nieprzyjemności? Sądziłem wszakże, że rzecz ma się przeciwnie...

I ma się przeciwnie. Żyjemy jak para gołąbków. Tylko, widzisz, tyle jest teraz rodzajów gołębi...

— Macie dzieci.

— Dwoje. Córka ma już lat czternaście, chłopak dziesięć.

— Radbym je zobaczyć, muszą być ładne.

— Zobaczysz tylko jedno; dziewczynę oddałem do konwiktu.

— Do konwiktu?

— A tak, niestety, do konwiktu! Ale chodź, chodź, zobaczysz!

Nie rzekłszy ani słowa więcej, jak gdyby chciał przygotować przyjacielowi jaką bardzo miłą niespodziankę, p. Władysław zaciągnął go do siebie. Pomieszkanie znajdowało się na pierwszem piętrze, we własnej kamienicy p. Smiechowskiego. Gospodarz zadzwonił raz, drugi, trzeci i dziesiąty. Po kwadransie, dał się słyszeć wewnątrz krok na przemian szłapiący i utykający, a po chwili otwarły się drzwi i ukazała się w nich głowa niewieścia, nie brzydka wprawdzie, ale w najstraszniejszem słowa znaczeniu nie uczesana. Część włosów spadała w nieładzie na czoło i na skronie, część pokręcona była w różne małe sploty, powiązane różnemi kawałkami cieniutkich wstążeczek i tasiemek, a jeszcze inna część, sprzykrzywszy sobie snać pobyt na głowie tak mało pielęgnowanej, pożegnała oddawna właścicielkę swoją i zostawiła na czaszce tu i owdzie miejsca nakształt tych, które w lesie nazywamy zrębami, albo polankami. P. Władysław otworzył drzwi szeroko, ażeby pokazać, że nie jest sam, w skutek czego wyż opisana głowa wraz z korpusem swoim zabrała się do odwrotu, wlokąc za sobą po ziemi dwie tasiemki od niezasznurowanych trzewików, które aż nadto wyjaśniały przyczynę, dla której krok przez drzwi słyszany utykał od czasu do czasu.

— Bądź-że łaskaw wejść — mówił p. Smiechowski do Stanisława — pierwszy pokój jest to moja sypialnia, i nie potrzebujesz się żenować... Wyszedłem z domu o dziewiątej, teraz mamy pół do pierwszej, może więc już posprzątano.

Młody nasz bohater usłuchał wezwania, ale naraz, coś go uderzyło po nosie i cofnął się mimowoli. Była to szczotka od zamiatania, którą oparto o drzwi tak zręcznie, że wchodzący musiał na nią nastąpić, wskutek czego należący do niej kij pochylał się nagle i witał gościa w sposób nieco obcesowy i przykry. P. Władysław usunął przeszkodę, i wprowadził Stanisława do pokoju, w którym wszystkie meble powysuwane były na środek, podczas gdy gęste kłęby kurzu unosiły się w powietrzu, i tamowały oddech.

— Nie ma tu co robić — rzekł p. Smiechowski — chodźmy do »salonu«. Ostatnie to słowo wymówił z jakimś złowrogim przyciskiem, jak gdyby pozwalał gościowi domyślać się czegoś jeszcze gorszego, niż to, co już widział. Tymczasem, nie było tak źle, — owszem, »salon« okazywał wszelkie ślady, iż od dawna, od bardzo dawna, nie przystępowano w nim do pierwszych rudymentów »sprzątania,« wskutek czego wszystkie meble były na swojem miejscu. »Wszystkie«, ma się rozumieć, z wyjątkiem szuflad w biurkach i komodach, i brzwi u szaf, które bez najmniejszego wyjątku były powysuwane, a względnie, otwarte, i pozwalały powołanemu i niepowołanemu zajrzeć do wnętrza każdej kryjówki i podziwiać jej malowniczy nieład.

— Uważaj, uważaj, z łaski swojej — zawołał gospodarz — tu na środku stoi garnek z klajstrem, który przyniesiono w kwietniu w zamiarze przyklejenia obicia tam w kącie; ale na nieszczęście, klajster wysechł, i dla tego też, jak widzisz, obicie wisi i duma nad swoim opuszczonym losem. Miałem ja już dawno zamiar — dodał tłumacząc — sprowadzić tapicera, a nawet prawdę powiedziawszy, sprowadzałem go parę razy, ale mówił mi zawsze, że go pani odprawiła, bo nie ma nic do naprawy. Później, chciałem kazać wynieść garnek, albo wyrzucić go, za okno ale, widzisz, pomyślałem sobie, że kiedy moja żona kazała go tu postawić, to możeby jej to sprawiło przykrość. Alojziu! Alojziu! — zawołał, zbliżając się do przeciwległych drzwi, jest tutaj p. Stanisław Wołodecki — pamiętasz, ze Stawiczan! — i pyta się, czy pozwolisz na chwilę wynieść z salonu ten garnek z klajstrem, żeby mógł dostać się do kanapy i usiąść?

Humorystyczna ta odezwa stała się powodem długiego szeptania i biegania po drugiej stronie drzwi, aż nareszcie wpadło jakieś indywiduum służebne i zabrawszy pospiesznie wspomniany tylekroć okaz ceramiki, znikło. P. Władysław wskazał swemu gościowi kanapę, na której tenże zajął miejsce nie bez pewnych przeszkód. Pierwszego mianowicie usiłowania w tym kierunku, bezpośredniem następstwem było, że Stanisław zerwał się na równe nogi, pod wrażeniem, iż rozgniótł jakieś żywe stworzenie. Tymczasem była to tylko druga szczotka — tym razem od czyszczenia rzeczy — ułożona szczecinami do góry, a skombinowana z nakrywką od czajnika, widelcem, parą rozwartych nożyczek i *szynionem*, nadziewanym t. z. podwójnemi szpilkami, które to przedmioty dla swojej natury po części elastycznej, a po części twardej i ostrej, w dotknięciu mogły chwilowo przypominać kota z szponami i zębami.

Gdy się Stanisław nareszcie usadowił, i zaambarasowany spoglądał w okno, przed którem w dwóch olbrzymich wazonach sterczały zwłoki jakichś roślin, obumarłych z braku wilgoci, dało się z po za otwartych drzwi jednej szafy słyszeć stłumione westchnienie.

— Czy to ty, Mundziu? zapytał p. Smiechowski.

— Ja, ojcze — odpowiedział głos napół płaczliwy.

— Chodź-że i pokaż się panu profesorowi. Dawno wróciłeś ze szkoły?

— Ja nie chodziłem do szkoły! — odparł chłopak smutnie, spoglądając na swoje nogi, które jak się teraz pokazało, były bose. — Tekla nie dała mi szkarpetek, bo jeszcze nie wymaglowane...

— A gdzież jest Tekla?

— Mama posłała ją po Katarzynę.

— A Katarzyna?

— Katarzyna poszła po mięso.

— A Basia?

— Basia miała sprzątać w pokoju u ojca, ale ją mama posłała za Teklą.

— A o której godzinie Katarzyna poszła po mięso?

— O pół do dwunastej! bo mama nie mogła znaleźć kluczyków od biurka, i wszyscy szukali, a potem ślusarz otworzył biurko, i nie było w niem pieniędzy. Dopiero Tereska przypomniała sobie, że mama włożyła pieniądze...

— Gdzie?

— Do puszki z herbatą, a Basia wsy-

pała je do czajnika i zaparzyła, kiedy podawała ojcu herbatę. Dopiero trzeba było suszyć pieniądze na oknie, a potem niechciały się rozkleić.

— Hm, hm, nie wiedziałem, że wraz z herbatą wypiłem dekokt tak kosztowny, — mówił p. Władysław spoglądając z humorystyczną powagą na swego gościa, wcale niezbudowanego i nie zainteresowanego temi szczegółami z gospodarstwa pp. Smiechowskich. — Przyznasz mi atoli, że gdzie są cztery sługi, oprócz stróża, który mnie usługuje, tam nie można być dość ostrożnym, i że puszka z herbatą jest bardzo pezpieczną kryjówką na pieniądze... Nie wiesz Mundziu, ile tam ich było?

— Było podobno sześdziesiąt idealników, ale dwa czy trzy rozgotowały się ze wszystkiem!

Zapomniałem powiedzieć, że monetą mającą obieg w Milicji i Landwerji był »idealnik«, złożony z podłużnej ćwiarteczki papieru, i zwany tak albo z powodu idealnej zupełnie wartości swojej, albo też dla tego, że posiadanie choćby jednej sztuki było dla większej części ludności niedoścignionym ideałem. Idealnik zresztą, w teorji, równał się sumie stu centów w walucie austrjackiej, albo 75 kopiejek srebrem.

— I jak sądzisz, Stanisławie, — prawił dalej p. Smiechowski — jeżeli np. co dzień zdarza się taka katastrofa z kluczykami, szkarpetkami, idealnikami itp., ile też razy ten pełen nadziei młodzieniec, p. Zygmunt Smiechowski, przed południem pojawia się w szkole. Z bolem serca, będę musiał ponoś i jego oddać do konwiktu.

— Tego mi przecież nie zrobisz, Władziu! — ozwał się z poza drzwi głos pani Aloizy — żebym ja ani jednego dziecka nie miała w domu! Nie dosyć już, że Maryni nie widzę prawie nigdy!

— No, nie, nie, nie zrobię tego, tylko przyjdź, przywitaj się z p. Wołodeckim, pod którego kierownictwo zresztą Mundek dostanie się wkrótce, jeżeli będziesz łaskawa chować idealniki gdzie indziej, niż w puszkę z moim ulubionym kitajskim czajem!

Jakoż, po chwili, pojawiła się p. Smiechowska, i bohater nasz ku zdumieniu swemu poznał w niej tę samą osobę, która mu przed chwilą drzwi otwierała. Trzewiki atoli były tym razem zasznurowane, a defekta fryzury pokryte jakąś białą niegdyś siatkową chustką, która zawiązana pod brodą, nadawała twarzy fałszywy pozór bolu zębów, a na całej figurze wyciskała piętno »nędzy, wstydzącej się żebrać«. Ba, co więcej, chustka ta zdawała się oddziaływać na głos i na zachowanie się p. Aloizy, która jednem słowem robiła wrażenie babki szpitalnej, chociaż nigdy nie chorowała i nie miała najmniejszego powodu odwoływać się do miłosierdzia ludzkiego. Przywitała Stanisława dość uprzejmie, ale — może z powodu chustki, mówiła tak niewyraźnie, że domyślać się chyba musiał, iż rada jest widzieć go po tylu latach. Mimowoli spojrzał na jej rączki. Niestety, nie były to rączki do całowania w przeźroczystym cieniu altany! Potrzebaby było grubszego cienia, ażeby się zdecydować na pocałunek, bo stan ich był w kompletnej analogji z fryzurą.

— Wiesz, Alojziu, Stanisław ma niemal ochotę żenić się, a ja go namawiam, ile mam sił, i spodziewam się, że ty mi pomożesz. Żeń się przyjacielu! Żeń! Pominąwszy już to, jak błogo w parze dwom duszom, które się kochają, i rozumieją, małżeństwo jest źródłem różnych drobnych codziennych szczęśliwości. Mąż stara się o rodzinę, walcząc z światem i losem, jest on jak samiec, który znosi żer do gniazdka, a tymczasem samica utrzymuje to gniazdko, wyporządza, stara się, aby było schludnem, jak widzisz, i wygodnem. (Tu p. Władysław wyjął z pod siebie grzebień rogowy i łyżkę, dwa przedmioty, na których siedział od kwandransa, i dodał po słowie: »wygodnem« — jak widzisz.) Nie wrócisz, jako szczęśliwy żonkoś, w południe do domu, który rano zostawiłeś w nieładzie. Kwiatami będziesz miał wysłane życie. Ale po co ja mam silić się na wymowę, rzekł wstając i zbliżając się do owych wazonów z uschłemi roślinami, ku którym patetycznie skinął ręką — najlepiej to wypowiedział Szyller:

> Ehret die Frauen — sie flechten und weben
> Himmlische Blüthen in's irdische Leben!

Żeń się, żeń Stanisławie! (C. d. n.)

---

# POGADANKA KOSMOLOGICZNA

przez

*B. Abakanowicza.*

I.

> Also fragen wir beständig,
> Bis zu letzt mit einer Handvoll
> Erde, stopft man uns die Mäuler.
> Aber, ist das eine Antwort?
> Heine.

Dziwnie przykrem i przygnębiającem dla każdego myślącego człowieka jest przekonanie, iż mózgowi jego są przez przyrodę wyznaczone bardzo małe i ciasne granice działania, po za które wybiedz naprzód nie może. Są rzeczy, które im bardziej badamy, tem stają się dla nas ciemniejszemi. Im więcej nad niemi myślimy, tem dalej się one odsuwają i nareszcie po długich trudach przychodzimy do przekonania, iż nigdy, póki mózg nasz będzie takim, jakim jest obecnie, na nasze pytania nie otrzymamy odpowiedzi. Szczęśliwi ci, których jakaś formułka naukowa lub teologiczna zadowalnia, lecz tym, których pcha nieprzeparta siła do stawiania pytań ogólnych, do rdzeni rzeczy sięgających, czyż wystarczyć może kilka słów sofistycznie zlepionych?

To też wszędzie i zawsze dochodzimy do całego tłumu pytań, na które nie masz odpowiedzi. Przez całe życie pytamy, ciągle, nieustannie, a nareszcie jak powiada poeta, przerwą te pytania, kładąc piasek w usta.

Lecz czyż to jest odpowiedź?

Pojęcie nieskończoności jest jednym z takich szkopułów, o które się rozbija nasza działalność mózgowa. Gdziekolwiek to pojęcie się wplącze, czy w czysto logicznych wywodach matematyki, czy w fizyce, czy w astronomji, tam dochodzimy w rozumowaniach do sprzeczności, z których nikt i nic nas wyciągnąć nie zdoła. A przecież ciągle z tym się spotykamy, czy szukając granic świata, czy zagłębiając się w budowę ciał, do nieskończenie małych atomów. I rzeczy nieskończenie wielkie i nieskończenie małe, zarówno nam się z pod zmysłów usuwają.

Jedynem naszem zadaniem jest, te trudności coraz dalej odsuwać, na tylne plany, zajmując się badaniem tego co nas najbliżej leży i rozwijając te wiadomości coraz dalej w obu kierunkach. Astronomja, pozwala nam coraz dalej zagłębiać się w przestrzeń świata, chemia i fizyka w wewnętrzną budowę ciał świat składających. Badając, idziemy w dwóch kierunkach. Raz ku nieskończonej wielkości, to znów ku nieskończonej małości. Idziemy coraz dalej, nawet coraz szybszym krokiem. Zakres naszych pojęć co raz bardziej się rozszerza. Lecz zawsze idziemy naprzód z tem prekonaniem, że do zupełnego poznania nie przyjdziemy.

A jednak jakiś popęd nieokreślony pcha nas ku tej wielkiej a nieznanej tajemnicy i niemasz żadnego ważniejszego okresu w rozwoju wiedzy, żeby zaraz nie chciano w nowy sposób wyjaśnić zagadkę.

Najczęstszym tematem do rozmyślania, jest rozważanie świata jako całości.

Jakkolwiek nie możemy sobie wyobrazić granic świata, jego rozmiarów, jego trwałości, to jednak nauka o niebie, tak dalece w naszym wieku postąpiła, że objąć i pojąć możemy budowę i układ jego, aż do granic bardzo odległych. A i granice te coraz bardziej się rozszerzają i pogląd nasz staje się coraz ogólniejszym.

Postęp olbrzymi nauk przyrodniczych, wydoskonalenie przyrządów, zrobiły dziś z astronomji naukę potężną, wielką i pełną konsekwencji dających nam pojęcie o tem, co się kiedyś ze światem naszym działo i jakie koleje przechodził, nim doszedł do stanu, w którym się obecnie znajduje. Każda planeta, każda mgławica, słońce nasze i tyle innych, stały się kartami historji wszechświata odczytanemi i zrozumianemi.

Dziś nawet dalej iść możemy. Świat cały jest wielką i skomplikowaną machiną, której bieg i części składowe coraz lepiej poznajemy. To też i na przyszłość wyciągnąć możemy wnioski, co się kiedyś z ziemią, słońcem i tylu na niebie rozrzuconemi gwiazdami stanie.

Ze wszystkich nauk, astronomja może ma najmniej bezpośredniego praktycznego pożytku. Wprawdzie bez niej nie byłoby ani dokładnych pomiarów ziemi, ani prawdziwego kalendarza, ani dobrych kart geograficznych, ani podróży po oceanach nieznanych. Jednak do tego wszystkiego wystarczyłoby tyle wiadomości z tej nauki, ile już posiadano, ze sto lat temu. A mimo to, ciągle nauka ta rozwija się nadzwyczaj szybko i znajduje coraz więcej adeptów, gorących przyjaciół i entuzjastycznych krzewicieli. Przyczyna leży w nadzwyczajnym zajęciu, które wzbudza bliższe poznanie odległych od nas światów, a tak do bliskich nam podobnych, w tych pełnych doniosłości filozoficznej wnioskach, które z poznania świata jako całości wyprowadzić można i w tych dziwnych tajemnicach, kóre się pod oczyma badacza w dalekich krańcach świata odkrywają.

Jednem słowem piękno, poezja tego rodzaju badań porywają i każą człowiekowi iść w tym kierunku.

Dodać do tego należy jeszcze nadzwyczajny

rozwój nauk technicznych, które astronomom dają wyborne instrumenta w ręce. Lunetami zbliżono odległe światy. Na grobie Fraunhofera stoi: *approximavit sidera*. Lecz od jego czasów do naszych zrobiono nadspodziewane postępy i większe obserwatorja posiadają lunety wielokrotnie przewyższające siłę Frauenhoferowskich.

Do tego przybyły w naszym wieku *spektroskopy* i one przymocowane do szkła samego w lunetach, dozwalają nam badać skład ciał na gwiazdach.

Przekonano się tą drogą, że cały widoczny dla nas wszechświat, składa się z jednych i tych samych ciał, które na ziemi naszej spotykamy.

Jednocześnie nauki fizyczne rozwinęły się znakomicie, utworzyła się na podstawie licznych doświadczeń teorja zachowania energji, która dla wniosków o całości świata, o jego początku i o jego końcu dostarczyła obfitego i pozytywnego materjału.

Tak zwany *kosmologiczny problemat* z dziedziny mrzonek wszedł w dziedzinę nauki i dziś wszechstronnie nim się zajmują.

W niniejszej pracy pozwolimy sobie poruszyć sprawy w bliskim związku z tym przedmiotem znajdujące się, nie dla podania ich całkowitego obrazu, lub szczegółowego opisu pewnych kwestji, lecz dla dania w kilku rysach ogólnego poglądu na całość z wskazaniem punktów, na które się zwraca dzisiaj ogólna uwaga.

Zobaczymy z jakich układów składa się świat dla nas widoczny, jakie są rezultaty najnowszych poszukiwań w tej dziedzinie, jakie stanowisko zajmuje ziemia w przestrzeniach światowych, jak stoi kwestja zamieszkalności ciał niebieskich, jak się dziś zapatrują na świat jako całość i jakie wnioski na przyszłość wyprowadzają.

Tylokrotnie poruszyliśmy w kronikach naukowych te sprawy, że sądzimy, iż takie ogólne zestawienie uprzejmie przyjętem zostanie przez czytelników, którym sprawa postępu wiedzy na sercu leży.

## II.

Cały firmament usiany jest gwiazdami. Przekonano się, że są to ciała niebieskie zupełnie podobne do słońca około którego się obracamy, ciała w stanie rozpalonym, które na wszystkie strony wysyłają promienie światła i ciepła. Wszystkie stałe gwiazdy są od nas tak odległe, iż w najlepszych teleskopach widzimy je tylko jako jasne punkciki, i dla tego o budowie ich powierzchni nic nie wiemy. Możemy tylko sądzić przez analogję ze słońcem i przypuszczać, że na każdej z nich odbywają się takie same przewroty, jak na naszej gwiaździe dziennej.

Około naszego słońca, w bliskim z niem związku, nie krąży żadne inne ciało niebieskie do tego stopnia rozpalone, żeby wydawało własne światło. Wszystkie planety świecą w ciemności tylko jak zwierciadła, odbiciem promieni od słońca pochodzących. Inaczej się rzecz ma z niektóremi słońcami, leżącemi w dalekiej przestrzeni. Nieraz gwiazdy, które zwykłem okiem jako punkty pojedyncze widzimy, przez teleskop rozwiązują się na dwa ciała z sobą sąsiadujące. Bezpośredni ztąd wniosek jaki wyprowadzić możemy, jest ten, że albo gwiazdy te są bardzo odległe i nie znajdują się w żadnym związku ze sobą, a leżą tylko perspektywicznie, w bliskości jednej linji z naszego oka przeprowadzonej tak, że wydają się jakby obok siebie leżały, albo też są to rzeczywiście ciała w zależności od siebie będące, jak np. ziemia od słońca.

Herschel w wielu wypadkach dowiódł tego ostatniego przypuszczenia, przekonał się bowiem, że takie gwiazdy odbywają ruch naokoło siebie. Po W. Herschlu wielu innych astronomów zajmowało się tym przedmiotem, między innymi jego syn, Dawes, Struve i inni, którzy wykazali, iż obrót gwiazd takich odbywa się na ogólnych prawach ciążenia, które rządzą i naszym systemem słonecznym.

Podwójne więc gwiazdy wykazują nam, iż w całej przestrzeni świata, którą widzimy, rządzą jedne i te same prawa ogólnego ciążenia, że więc do tych niezmierzonych obszarów stosować możemy to, co w naszem sąsiedztwie zbliska obserwujemy.

Oprócz tych satellitów świecących, istnieje prawdopodobnie obok każdej z gwiazd pewna ilość ciał, które już wystygły i od których odbite promienie do nas nie dochodzą, a które jako planety krążą około głównego ciała.

Nagromadzenia gwiazd w daleko większej liczbie spotykamy w różnych częściach nieba. W nie wiele powiększających teleskopach, widzimy nieraz białe plamki, jak blade obłoczki na ciemnem tle nieba. Gdy niektórym z nich przypatrzymy się za pomocą potężnych lunet, to przekonamy się, iż są one złożone z wielkiej ilości pojedyńczych gwiazd, dość blisko od siebie leżących a nawet nieraz w środku obłoku tak skupionych, iż wydaje się, iż tam jest jedna, jednolita, świecąca masa. O prawach rządzących biegiem tych grup nic nie wiemy, bo dotychczasowe obserwacje nie dostarczają pewnych danych.

Ze wszystkich zgrupowań gwiazd na niebie, najpotężniejszem, jest tak zwana droga mleczna, która dla mieszkańców ziemi ma kształt bladego i nieregularnego pierścienia opasującego kulę niebieską.

Gwiazdy na niebie rozsiane nie jednakowej są wielkości dla naszego oka. Przyczyna tego leży głównie nie w istotnej różnicy co do objętości, lecz w odległości od naszej ziemi. Im dalszą jest gwiazda, tem oczywiście wydaje się nam mniejszą. W skład drogi mlecznej wchodzi właśnie niezliczona moc takich niezmiernie odległych gwiazd, które się ułożyły dla oka naszego, w przerywanym nieraz pierścieniu o głębokości zupełnie nieznanej. Szerokość tej drogi mlecznej jest w różnych miejscach, różną i gęstości jej wcale nie jednakową. W niektórych miejscach, jak np. w konstelacji *Orła* w najlepszych teleskopach wydaje się jak biała plama, w innych, jak np. w konstelacji *Byka* jest rzadszą i można odróżnić przy znacznem powiększeniu pojedyńcze gwiazdy w jej skład wchodzące.

Im dalej oddalamy się okiem od drogi mlecznej, tem gwiazdy stają się rzadsze i gdy się nad tem zastanowimy, to przychodzimy do przekonania, iż wszystkie prawie gwiazdy, należą do jednego systemu drogi mlecznej, związanego siłą ciążenia. Ułożyły się one jak jeden pierścień o olbrzymich rozmiarach.

Jakie miejsce w tym układzie zajmuje nasze słońce, które jest także gwiazdą razem ze wszystkimi swymi satelitami?

Odpowiedzią na to pytanie zajmowano się wielokrotnie. Jedna z najbardziej trafnych jest podana przez Jakóba Ennisa, którą w streszczenie przytaczamy.

Jeżeli siła ciążenia rządzi wszystkiemi gwiazdami w jeden układ wchodzącemi, to musi być w układzie tych ciał pewien środek grawitacyjny. Poszukajmy go dla układu drogi mlecznej.

Jeśli chcemy w jakiemś ciele znaleść środek, to musimy przedewszystkiem poznać dobrze jego postać. Otóż wszystko przemawia za tem, iż kształt układu naszego gwiazdowego, jest, jak już wspomnieliśmy, pierścieniowaty.

Podobnego rodzaju układy widzimy w dalekiej przestrzeni, w postaci pierścieniowych mgławic, które składają się z gwiazd pojedyńczych.

Przypuścić należy, iż i nasz układ ma pewne granice i nie zachodzi w głąb przestrzeni do nieskończoności.

Z okrągłości układu gwiazdowego wnosić należy, iż środek grawitacyjny wszystkich gwiazd leży w płaszczyźnie drogi mlecznej i w środku geometrycznym tego pierścienia.

Wszystkie gwiazdy naszego układu krążą z wielką szybkością około tego środka, pędzone siłą ogólnego ciążenia, które jak wiadomo rządzi i na najodleglejszych kresach.

Nasze słońce wraz z ziemią i wszystkiemi planetami należy do układu drogi mlecznej i znajduje się na północnej stronie pierścienia, to znaczy, że po tej stronie gdzie Wielka Niedźwiedzica, a nie tam gdzie Orion. Według p. Ennisa znajdujemy się nie na powierzchni pierścienia drogi mlecznej, lecz nieco w jego głębi, a te gwiazdy, które dzielą nas od powierzchni, widzimy rozrzucone na całym firmamencie.

Według przybliżonych obliczeń, środek pierścienia drogi mlecznej, a więc punkt około którego obracają się wszystkie gwiazdy, leży od nas tak daleko, że światło, ażeby ztamtąd do nas dobiedz mogło, potrzebowałoby 87 lat przebiegając jak wiadomo przeszło 40,000 mil na sekundę. Odpowiada to odległości takiej w której leżą gwiazdy piątej wielkości.

Jeżeli przyjmiemy za Herschlem, że światło potrzebuje 2000 lat, aby z widzianej przez nas części drogi mlecznej do nas dobiedz mogło, to możemy z tego, mając środek obrotu obliczyć, ile czasu potrzebują gwiazdy wchodzące w skład tej drogi na zrobienie całkowitego obrotu około centrum grawitacyjnego. Miejmy na oku słońce, które jest jedną z gwiazd układu pierścieniowego. Jeżeliby się ono poruszało w przestrzeni tak szybko, jak gwiazda Arcturus (3000 mil na minutę), to potrzebowałoby, do zrobienia jednego obrotu około centrum 1,760,000 lat czasu.

Mówiliśmy dotąd tylko ogólnikowo o drodze mlecznej. Wchodząc szczegóły, spotykamy się z pytaniami, na które dotąd nie ma jeszcze odpowiedzi. Masy, z których się droga mleczna składa, robią wrażenie rozproszonych w przestrzeni grup gwiazdowych i trudno odkryć jakieś ogólne prawo rządzące ich rozkładem.

Niezależnie od drogi mlecznej i to na całej przestrzeni nieba, widzimy rozsiane niezliczone białe obłoczki, których znaczenie zostało w ostatnich czasach zbadane i przekonano się, iż są to nagromadzenia pary rozrżarzonej różnych ciał, pierwiastków, takich, jakie i na naszej ziemi znajdujemy. Obłoczki te mgliste nazywają mgławicami. Są to zaczątki nowych światów, które z czasem przez zgęszczenie mgławic się wytworzą, tak jak z mgławicy wytworzyło się słońce

z ziemią i wszystkiemi krążącemi naokoło niego planetami.

Przez długi czas sądzono, iż droga mleczna stanowi jedną z takich wielkich mgławic, jednakże przekonano się, że ściśle tak drogi mlecznej nazywać nie można bo składa się ona z pojedyńczych gwiazd mięszanych gdzie niegdzie z parą świecącą, gdy tymczasem prawdziwe mgławice są tylko roznoszoną parą.

Jak mgławice są od nas odległe, tego powiedzieć nie możemy, bo nie ma na to pozytywnych danych, umożliwiających jakikolwiek rachunek. Wiadomo tylko to, że niektóre z nich są tak olbrzymich rozmiarów, iż ich objętości żadną miarą ziemską wyobrazićbyśmy sobie nie mogli.

Kształt tych mgławic jest najrozmaitszy. Niektóre z nich są zupełnie nieregularne inne znowu, a jest ich bardzo wiele mają kształt eliptyczny. W niektórych z nich widać mocne zgęszczenie w środku coby kazało się domyślać, iż mamy tworzenie się nowej gwiazdy przed sobą. Inne znowu mają kształt pierścieniowaty, podobny do naszej drogi mlecznej. Pomimo tego, iż mgławice są w stanie gazowym, jednakże o ile widać z dotychczasowych obserwacji, są one ciałami bardzo mało zmiennemi co do formy.

Co do ich rozkładu w przestrzeni, to wiemy, iż najmniej ich jest w płaszczyźnie drogi mlecznej, a najwięcej w kierunku prostopadłym do tej płaszczyzny.

Z takiej mgławicy powstało niegdyś, według hipotezy genjalnej Laplaca, słońce ze wszystkiemi planetami. Mgławica obdarzona była ruchem obrotowym i zgęszczała się powoli wysyłając promienie ciepła w przestrzenie międzyświatowe. Jednocześnie obrót stawał się szybszym i odrywały się pierścienie od mgławicy, które pękały i zgęszczały się w kule.

Takie wydzielanie powtarzało się wielokrotnie, a tymczasem centralna masa coraz się bardziej zgęszczała i dziś słońce jest właśnie jądrem tej olbrzymiej mgławicy, która była macierzą całego naszego układu.

---

# DZIWNE LOSY ŻOŁNIERZA-POLAKA

napisał

*Dr. Jan Stella Sawicki.*

W czasie pobytu w Szwajcarji w r. 1865 byłem członkiem rady Towarzystwa wzajemnej pomocy Polaków w Genewie i sekretarzem tej rady. Oprócz szukania zatrudnienia dla przybywających rodaków, obowiązkiem moim było wydawanie biletów na wikt dla tych, co przez Genewę dążyli do Francji i udzielanie odzienia, bielizny i obuwia tym, którzy tego potrzebowali. Z tych powodów miałem do czynienia z niezmiernie wielką ilością ludzi różnych kategorji.

Dnia jednego wszedł do mego pokoju staruszek, małego wzrostu, mizernego składu ciała z dziwnie pomarszczoną twarzą i z zapadłemi małymi oczkami, które jednak błyszczały i biegały jak u rysia.

— Jestem Józef Kosiński, były żołnierz wojsk moskiewskich, potem polskich, węgierskich, nareszcie należałem do ostatniego powstania, a teraz wracam z Włoch dokąd chodziłem, aby zaciągnąć się do legionu Garibaldego, który zbiera ochotników do walki z Austrjakami. Przychodzę do komitetu prosząc o pomoc dopóki nie skomunikuję się z kolegą moim żyjącym w górach Jura, z ktorym pracowałem nad szlifowaniem szkieł do okularów.

Twarz mówiącego, jego postawa wojskowa i ruchy niezmiernie mnie zainteresowały. Usadziłem więc staruszka, potraktowałem go czem miałem, napoiłem wódeczką i tak go tem ująłem, że opowiedział mi losy swoje, które były tak dziwne i tak wyjątkowe, że po wyjściu jego zapisałem sobie całe jego opowiadanie nacechowane taką prostotą i naiwną prawdą, że ani na chwilę nie mogłem wątpić o prawdziwości słów jego.

Kosiński, syn jakiegoś małego oficialisty z pod Białegostoku, wzięty w rekruty, już lat kilkanaście, służył w jakimś moskiewskim pułku, gdy wybuchło powstanie 1831 r. miał więc wtedy trzydzieści pięć lat. Długa służba i straszna dyscyplina nie zabiły w nim polskiego serca; to też przy pierwszej możności uciekł z wojska i przekradłszy się przez moskiewskie awanposty zaciągnął się do wojska polskiego. Odbywszy sławną lecz nieszczęśliwą kampanię, z korpusem Romaryny przeszedł przez granicę Galicji, a z tamtąd dążąc do Francji z kolegą swoim osiedli w górach Jury, a szlifując szkiełka do okularów zarabiali na kawałek chleba. Oczekując jakichś wypadków, które miały zaprowadzić wszystkich Polaków do Polski, przeczekali lat piętnaście.

Dowiedziawszy się, że w Galicji gotuje się powstanie, Kosiński zebrał, co zaoszczędził sobie i wyruszył w 1846 roku do Krakowa. Powstanie to, jak wiadomo, Meternich uprzedził rzezią szlachty. Kosiński po bitwie pod Gdowem, gdzie Benedek zrobił taki dobry materjalny interes, przebrany za chłopa dostał się w góry a z tamtąd do Węgier, gdzie osiedlił się w jakiejś wiosce słowackiej. W czasie węgierskiego powstania Kosiński zaciągnął się do wojska i przyjmował udział we wszystkich ważniejszych bitwach, dopóki kontuzjowany w głowę pod Debreczynem nie został na polu bitwy, gdyż sądzono, iż nieżyje. Przyszedłszy do zmysłów obaczył, że jest w niewoli moskiewskiej. Ponieważ nie posiaddł innego języka, jak polski i moskiewski, Moskale poznali, że pochodził z królestwa lub z zabranych prowincji. Badany przez nich, widząc iż ukryć nie zdoła, że jest Polakiem, powiedział że pochodzi z Warszawy, bo gdyby wyznał prawdę że jest zbiegiem z wojska moskiewskiego, byłby natychmiast rozstrzelany. Natomiast odesłano go do Warszawy i kazano przeprowadzić śledztwo o jego pochodzeniu.

Ze względu, iż był to sobie człowiek prosty bez wykształcenia, nie umiejący ani czytać ani pisać, posadzono go do więzienia i nie spieszono ze śledztwem, tak że biedak przesiedział w cytadeli ni mniej ni więcej jak sześć lat, to jest do końca 1854 roku. Nie mogąc sprawdzić przynależności jego do żadnej gminy sąd wojenny zdecydował, iż należy go uznać za włóczęgę i postąpić według praw istniejących. W panowaniu Mikołaja postępowano ź włóczęgami w następujący sposób: znaczono na obu ramionach literą B, co oznaczało „brodiaga", czyli "włóczęga", dawano sto rózg zwykle na drogę i odsyłano do Wschodniej Syberji na osiedlenie. Tak też postąpiono z Kosińskim.

Wtedy dróg żelaznych jeszcze nie było, podróż więc odbywała się piechotą, etapami, a co znaczy podobna podróż można się dowiedzieć z opowiadań p. Czaplickiego w „Czarnej księdze". Półtora roku kroczył biedak na miejsce przeznaczenia, a gdy nareszcie przyszedł do Irkucka, zostawiono go własnemu jego przemysłowi. Nie wiedząc, co z sobą począć chodził od jednego do drugiego z rodaków tam mieszkających, ktorzy dopomagali to groszem, to radą staremu żołnierzowi, ale że w ogóle wszyscy byli biedni, nie mogli mu dać skutecznej pomocy, ani środków do życia na czas dłuższy. Nareszcie jeden z nich, zajmujący się koszykarstwem, zaproponował mu nauczyć rzemiosła swego, z warunkiem, żeby mu pomagał, nie wymagając innej zapłaty jak utrzymanie kompletne. Chwycił się tego gorąco Kosiński, nosił z lasu pręty, dopomagał w gospodarstwie, w robocie; w sprzedaży i po roku praktyki nauczył się robić dość zgrabne koszyki.

Jak tylko posiadł rzemiosło, które go wyżywić mogło, natychmiast w głowie jego błysnęła myśl ucieczki z Syberji, która tem łatwiejszą mu się zdawała, że nikt na niego nie zwracał uwagi i nikt by go nie poszukiwał, gdyby nawet policja zauważyła, że go nie ma w mieście, bo mogła sądzić iż oddalił się do wiosek w okolicy Irkucka leżących.

Pracą i oszczędnością zebrawszy kilkanaście rubli Kosiński pożegnał się z kolegami i wyruszył z Irkucka w zimie 1857 roku w drogę na zachód, idąc wzdłuż południowej granicy Syberji. Podróż ta w czasie zimowym była bardzo uciążliwa i niebezpieczna, bo z jednej strony groziły dzikie zwierzęta, z drugiej mróz, a z trzeciej nareszcie Burjaty, plemie syberyjskie, bardzo chętnie poiujące na zbiegów, bo rząd płaci za każdego pojmanego trzy ruble i parę butów. Otóż potrzeba było uniknąć tych trzech wrogów i w dodatku nie popaść się w ręce policji, gdyż nie miał żadnego dokumentu, a w Rosji wojażować bez „bumagi" nie wolno. Pomimo tego podróż od Irkucka do Tobolska udała mu się dobrze, bo przebył ją piechoto w ciągu ośmiu miesięcy.

W Syberji tylko bardzo rzadko mieszkańcy żyją tam, gdzie mają pola zasiane; zwykle budują tu tylko czasowe chaty, które zamieszkują latem w czasie siejby lub zbiorów, prędko po siejbie następujących; na zimę zaś odjeżdzają do miast lub wsi blizko drogi komunikacyjnej położonych, zostawiając chaty swe bez żadnego dozoru. Tu więc najczęściej chowają się w zimie zbiegowie i różni złoczyńcy pogniewani z prawem; tu też nieraz zbójcy zanoszą ciała podróżnych zabitych zimową porą, żeby jak najdłużej skryć ślady zbrodni. Nieraz Kosiński przepędzał noce obok takiego gnijącego trupa, ryzykując zginąć jako zbójca gdyby go tam złowiono. Drogę odbywał zwykle lasami, trzymając się z daleka od bitych gościńców, a wtedy tylko chodził do wsi, gdy mu już zabrakło chleba i soli, których nabywał sprzedając swe koszykarskie wyroby. Na wiosnę podróż stała się łatwiejsza, bo jagody, grzyby, szczaw i różne korzonki pozwalały mu obchodzić się mniejszą ilością chleba, a noclegi stały się także mniej uciążliwemi.

Przybywszy do Tobolska i mając potrzebę kupić chleba i różnych drobiazgów koniecznych w drodze, usiadł w lesie przyległym i zaczął pleść koszyki za które miał nabyć to, co mu brakowało. Na nieszczęście jego w tę samą noc z więzienia kryminalnego uciekł jakiś bardzo niebezpieczny zbrodniarz. Policja zrobiła obławę w lesie spodziewając się tam złowić zbiegłego ptaszka; tymczasem zbrodzień umknął w inną stronę, a za to złowili biednego Kosińskiego, zajętego robotą i przyprowadzili go do polic-

majstra. Nie mając żadnych dokumentów i nie znając okolic, nie pozostało mu nic jak powiedzieć prawdę zkąd jest i co robił, bo wypalone na obu ramionach litery B, zdradziły go natychmiast. Zbiega zamknięto do więzienia dopóki nie otrzymano z Irkucka odpowiedzi, potwierdzającej zeznanie uwięzionego, a że nikt z tem bardzo nie spieszył, biedak przesiedział w turmie ze zbrodniarzami rok cały.

Gdy przyszła odpowiedź z Irkucka winowajcę oddano pod sąd. Według praw istniejących za zbiegostwo po raz pierwszy winowajca otrzymywał zwykle sto jeden uderzeń knutem, a jeżeli żył jeszcze, to po wyleczeniu odsyłano go do Ochocka lub Kamczatki, a tylko bardzo rzadko na miejsce dawnego pobytu.

Nędzna figurka Kosińskiego, twarz jego jak zmarzłe jabłko poorana zmarszczkami i fizyczna słabość organizmu wzbudziła litość w policmajstrze. Zawołał więc do siebie kata i kazał mu wymierzyć karę łagodnie, bo ludzie tylko bardzo silnej budowy ciała mogą wytrzymać sto knutów. Wielu ludzi umierało po czterech lub pięciu uderzeniach, bo każdy raz wyrywa kawał żywego ciała z plec nieszczęśliwego delikwenta. W Moskwie istniał ten zwyczaj, że winowajcy skazani na knuty, gdy przychodzili na miejsce kary dawali katowi kilka rubli, prosząc o zabicie od razu jeżeli byli skazani na śmierć pod knutami, lub o łaskawe uderzenia, gdy mogli karę wytrzymać.

W dzień oznaczony wyprowadzono Kosińskiego na plac publiczny, przywiązano do sań przewróconych, postawionych na podwyższeniu i kat wyliczył mu sakramentalnych sto jeden uderzeń, lecz dotrzymując obietnicy danej policmajstrowi, bił go nie końcem instrumentu, a środkową jego częścią tak, że biedny delikwent choć i okrwawiony wyszedł z życiem z tej okropnej i nieludzkiej operacji. Policmajster z urzędu asystujący przy egzekucji kazał go odesłać do szpitala, żeby zagoić rany i dać mu przyjść do sił dla odbycia pieszej podróży nazad do Irkucka, dokąd go przeznaczono.

I znowu z etapu na etap szedł Kosiński do Irkucka całe sześć miesięcy. Po przybyciu do stolicy wschodniej Syberji puszczono go na swobodę, pozwalając obrać sobie jakiekolwiek zatrudnienie. Wrócił więc znowu do rodaka swego, koszykarza, ale od pierwszego dnia w powrocie zaczął myśleć na nowo o ucieczce. Przekonawszy się jak jest źle nie mieć żadnych papierów, pracował bardzo pilnie i za pierwsze zarobione dziesięć rubli kupił u jednego pisarza wojskowego doskonały fałszywy pasport, podrobiony na własne jego imię, jako uwolnionego z posielenia do domu. Wszystkie pieczęcie i podpisy były imitowane doskonale.

Polacy, koledzy wygnania, namawiali go nie ryzykować się na takie szalone przedsięwzięcie, przy którem już tyle setek ludzi zginęło, nie dopiąwszy celu, ale Kosiński należał do liczby ludzi niezmiernie silnej woli, a dawszy sobie słowo że ucieknie gotował się do podróży. Widząc iż niepodobna przekonać go, koledzy zrobili między sobą składkę i uzbierawszy kilkadziesiąt rubli dali je na drogę staremu wiarusowi.

W zimie 1859 roku Kosiński wyruszył w drogę trzymając się znowu południowych granic Syberji, które mu znane już były od czasu pierwszej ucieczki. Po roku podróży, idąc prawie nieustannie przyszedł zbieg do Kazania. O trudnościach podróży, o głodzie i innych niedostatkach, które wycierpiał biedak, można sobie wyobrazić przypomniawszy że zbieg miał tylko kilkadziesiąt rubli ofiarowanych mu przez rodaków na żywność i na odzież niszczącą się straszliwie w czasie przejść lasami, które musiał obierać żeby być najdalej od ludzi do których się zbliżał tylko w razach nieuniknionej konieczności.

Przybywszy do Kazania, Kosińki był tak strudzony podróżą, że iść dalej nie mógł; postanowił wiec odpocząć w tem mieście choć dni kilka. W miastach leżących bliżej do Uralskich gór, istnieją bardzo ostre przepisy meldunkowe, ze względu na zbiegów syberyjskich. Żaden więc dom zajezdny niechciał go przyjąć do siebie, dopóki nie otrzyma pozwolenia pobytu z policji. Chcąc niechcąc musiał udać się do urzędu.

W kancelarji pana policmajstra przewodził pisarz jego, wielka figura w mieście, wielki dygnitarz, bo on wszystkiem kierował, a policmajster tylko podpisywał. Z tego powodu policmaſster cenił go bardzo i nie inaczej nazywał jak Piotrem Siemonowiczem. Ale Piotr Siemonowicz. coś bardzo dużo przeskrobał w tym czasie, narobił wielkiego kłopotu policmajstrowi i z tego powodu był z nim na bakier.

Gdy Kosiński wszedł do kancelarji i prosił o danie mu pozwolenia zatrzymania się w Kazaniu na tydzień, Piotr Siemionowicz zmierzył go oczyma od stóp do głowy, zażądał pasportu, popatrzał na pieczęć, na podpisy, na wodne znaki i rzekł:

— Ten pasport jest fałszywy. Kto ty jesteś? mów zaraz!

Kosiński przeląkł się okropnie, bo wiedział co go czeka, gdyby odkryto, że on jest zbiegiem z Syberji po raz drugi.

— Proszę pana, odrzekł. to jest pasport rzeczywisty, który mi wydano w Irkucku.

— A ot obaczymy... my ten pasport poszlemy do Irkucka dla sprawdzenia, a ty u nas tymczasem posiedziesz w turmie i tam odpoczniesz łajdaku, — krzyknął Piotr Siemionowicz.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł do kancelarji pan policmajster gniewny i zadąsany.

— Ty czego tu krzyczysz, sukin syn, — rzekł obracając się do swego alter ego.

— Wasze Wysokobłagorodie...— zaczął nieco zmięszany Piotr Siemionowicz.

— Milczeć... ty znowu pjany...— rzekł pan major z oburzeniem; ja ciebie bestjo nauczę! A co to za człowiek?

— Wasze Wysokobłagorodje...— znowu zaczął pisarz.

— Milczeć durniu... ja jego, a nie ciebie pytam, — zawołał policmajster dumnie.

— Przyszedłem tu prosić o pozwolenie odpoczęcia dni kilku w mieście, a pan pisarz powiada, że pasport mój fałszywy i że potrzeba mnie posadzić do tiurmy.

— Pokaż pasport. — Kosiński podał mu dokument.

Policmajster przejrzał i rzekł:

— Tyś pijany, lub chciałeś wziąć u niego łapowe i dla tego ci się zdawało że pasport fałszywy... Milczeć!...— zawołał widząc że pisarz chce odpowiedzieć. Ja ci skórę zedrę jak się jeszcze raz coś podobnego jak wczoraj powtórzy, a teraz zaraz mu wydaj kartkę pobytu w Kazaniu na ośm dni, a ja podpiszę.

W pięć minut potem Kosiński wyszedł z policji, z bijącem sercem, dziękując Bogu za wybawienie od niebezpieczeństwa.

Odpocząwszy w mieście tydzień cały, zbieg puścił się w dalszą drogę na Moskwę i na Smoleńsk. Było to już w zimie 1861 roku. Trudy podróży, fizyczne wycieńczenie z powodu głodu i zimna tak osłabiły organizm, że gdy się dowlókł do Smoleńska poczuł że tu musi nastąpić kres jego podróży ziemskiej. Rozpacz, ten zły doradzca, ogarnęła go. Nie chcąc umierać na ulicy, zdecydował się pójść do policji i wyznać policmajstrowi kim jest, żeby przynajmniej pozwolono mu umrzeć na łóżku szpitalnem. Chciał spalić swój pasport, ale że pod ręką ognia nie było, odłożył więc na potem, a sam udał się do policji.

— Czego chcesz? zapytał go policmajster.

— Wasze Wysokobłahorodje... jestem zbiegiem z Syberji. Dowlokłem się aż do waszego miasta, ale czując się zupełnie bezsilnym i chorym, postanowiłem sam oddać się w wasze ręce, żeby przynajmniej umrzeć w szpitalu, a nie na drodze jak pies jaki...

— Te, te, te...—zawołał policmajster, —jaki on mądry! Chciałby zimę przebyć w szpitalu, więc udaje że jest zbiegiem i chorym... Mnie nie oszukasz... Ja stary wróbel... Jeszcze nikt w Syberji nie uciekł aż do Smoleńska.. Ej zawołać mi woźnego.

Gdy woźny przyszedł, pan policmajster rzekł:

— Zrewiduj kieszenie tego ptaszka! jestem pewny że ma pasport najlepszy!

Woźny zrewidowawszy zbiega wyciągnął pomięty pasport jego. Policmajster przebiegł papier oczyma i rzekł tryumfująco:

— A co? nie mówiłem że kłamie i że tylko chce mu się zimę przepędzić w szpitalu na koszt skarbowy... Eh eh che, che... mnie nikt nie oszuka... zje djabła kto mnie w błąd wprowadzi. Wypchnij go za drzwi... w kark, a dobrze... tak, tak..

Kosiński pchnięty za drzwi upadł na ziemię i z osłabienia podnieść się nie mógł.

—Nu, pójdź tam rzekł policmajster do woźnego, spojrzawszy w okno, pomóż staremu, bo on w samej rzeczy wydaje się być słabym, albo pijanym.

Woźny wyszedł, dopomógł Kosińskiemu podnieść się z ziemi i rzekł:

— A ja wierzę tobie stary żeś uciekł z Syberji, bo prawda patrzy ci z oczu, lecz mam sumienie i nie zaszkodzę ci. Idź na Białoruską ulicę, tam mieszkają p. p. T.. rodzina polska, oni ci pewno dopomogą, bo są bardzo zacni i poczciwi ludzie... Idziesz do Polski.. ztamtąd także był mój ojciec... a ja... machnął tylko ręką.

Ledwo dowlokł się Kosiński do wskazanego domu. Przyjęty łaskawie i ulokowany w oficynach zbieg padł na łóżko i już się z niego zwlec nie mógł, gdyż dostał bardzo silnego tyfusu. Sześć tygodni poczciwi pp. T pielęgnowali starego wiarusa; nareście natura zwycięzyła. bo nie wybiła jeszcze ostatnia jego godzina. Kosiński wstał z łóżka i po kilkomiesięcznej rekonwalescencji, podziękowawszy Bogu że dał tyle zarozumiałości smoleńskiemu policmajstrowi, wspomożony przez rodaków, wyruszył dalej przez Wilno i Białystok do Warszawy. Nie zatrzymując się długo w stolicy, gdzie wszystko wrzało, udał się nie do Kalisza, jak stało w pasporcie, ale na południe. Tu udało mu się w nocy

przepełznąć przez pas graniczny i dostać się do Krakowa, właśnie w chwili, gdy wybuchło styczniowe powstanie.

Drgnęło serce starego żołnierza. Wszak ramię jego jeszcze dość silne żeby podnieść muszkiet, a oko jeszcze widzi dobrze, żeby wziąć na cel wroga!... Nie długo więc myśląc zaciągnął się do oddziału mającego atakować Miechów.

Wiemy jak fatalnie skończyła się ekspedycja! kwiat młodzieży naszej polał krwią swoją łany ojczyste. Kosiński obskoczony do koła przez kozaków, odbijał się jak mógł, ale pchnięty tylcem piki w kark upadł na ziemię i dostał się do niewoli.

Więźnia po bitwie przyprowadzono do dowódcy moskiewskiego Czengierego.

Widząc przed sobą małego, nędznego staruszka, Czengery poczuł w sobie niezmierną odwagę i chęć pokazania jej swemu bezbronnemu niewolnikowi. Rzucił się więc do niego i począł tłuc go pięściami po twarzy krzycząc:

— I ty stary psie powstałeś przeciwko ojcu twemu carowi! I ty się stałeś buntownikiem! Ja cię nauczę buntować się, ja ci wszystkie zęby powybijam i oczy wysadzę...

I w samej rzeczy p. jenerał w krótkim czasie tak zbił biednego staruszka kapitalnie, że twarz i głowa mu opuchły zupełnie. Rozwścieklony widokiem krwi ciekącej i bezstronnością starca, p. jenerał pewnie by go zabił własnemi rękami, gdyby ten straciwszy przytomność z bolu i moralnego wstrząśnienia nie upadł na ziemię.

Tak zbitego i skrwawionego odesłano do miejscowego szpitala.

Gdy więźnia przebierano w bieliznę i odzież szpitalną, felczer zauważał fatalne znaki znajdujące się na ramionach jego. Szczęściem felczer był Polakiem, nie zrobił więc z tego żadnego użytku, owszem domyśliwszy się że biedny starzec jest zbiegiem z Syberji, poczuł dla niego niezmierną litość i sympatję. Jak tylko chory przyszedł nieco do siebie i dowiedział się, że tajemnica jego jest wiadoma felczerowi, prosił aby ten go nie zdradził.

— Nie tylko nie myślę o zdradzie, ale owszem postaram się ci dopomódz ile będę mógł. A nasamprzód poprobujemy czy nie uda się nam wywabić fatalnych znaków za pomocą wezykatoryj i ropienia.

Kosiński zgodził się. Trzy tygodnie kładli wezykatorję, lecz ślady pobytu w Syberji nieustępowały, bo proch wtarty głęboko w literę nie można było wydobyć żadną miarą.

Widząc, że ukryć przeszłości niepodobna żadnym sposobem, a odkrycie to równałoby się skazaniu na śmierć, obaj zaczęli obmyślać środki ucieczki ze szpitala. Szczęściem, że lekarz był także Polakiem i dowiedziawszy się od felczera jakiego ma pacjenta, pozwalał mu przechadzki po ogrodzie otaczającym szpital i dawał swobodę jak największą. Korzystając z tego, przy pomocy felczera, Kosiński umknął jednej nocy ze szpitala i na podwodzie kontrabandzisty przejechał granicę pruską nie mając na sobie nic oprocz koszuli i szpitalnego szlafroka.

Kontrabandzista dostawszy się do Prus, kazał mu zleść z wozu i schować się w krzakach obiecując mu przywieść chłopskie odzienie z niedalekiej wsi, ale niestety oddział pruskich strażników, dostrzegł przemykających się przez granicę, otoczył ich i aresztował obydwóch. Ponieważ kontrabandzista w ten dzień wracał bez żadnych towarów, musieli go więc wypuścić, ale aresztowanego Kosińskiego odwieźli do sztokkauzu, zkąd dowódzca natychmiast napisał do przełożonej swej władzy co ma czynić z więźniem? Oddanie Moskalom oczekiwało biedaka, bo tak zwykle postępowali prusacy. Dowiedziała się otem znana w okolicy ze swej ofiarności i patrjotyzmu pani S. i nie tracąc ani chwili, przybyła do miasteczka, przekupiła strażników, którzy pozwolili Kosińskiemu umknąć z więzienia. Otrzymawszy wsparcie pieniężne od swej protektorki, udał się do Szwajcarji, a potem do swego przyjaciela w górach, który ciągle szlifował szkiełka do okularów.

Nie długo jednak i tu pozostał, bo mu już się nie siedziało na miejscu. Włócząc się tyle czasu po świecie, przywykł do włóczęgi, a ta się stała drugą jego naturą. Dowiedziawszy się że Garibaldi zbiera ochotników dla utworzenia oddziału przeciwko Austrji rzucił Kosiński spokojny kawałek chleba i dach przyjaciela i powlókł się do Włoch. Garibaldi obaczywszy tego zgrzybiałego starca, dał mu dwadzieścia franków na drogę i rzekł: „Ja stary już, a ty jeszcze starszy odemnie, a do walki którą mamy przed sobą, potrzeba mi ludzi młodych, energicznych, silnych i wytrzymałych, a tych warunków posiadać pan nie możesz; idź więc pan do domu.“

Otóż po powrocie z Włoch, zgłosił się on do mnie. Wtedy właśnie w Aligny, nad jeziorem Genewskiem mieszkała z dziećmi jedna z najzacniejszych Polek. Usłyszawszy o dziwnych losach starego żołnierza, życzyła go poznać. Życzeniu jej stało się zadość i staruszek tak się umiał jej podobać, ze namówiła go pozostać przy jej synkach, żeby chodził z nimi na spacery i ciągle miał ich w swojej opiece. Staremu było tu jak w raju, ale po trzech miesiącach pobytu dawna choroba wróciła. Zaczął więc prosić o pomoc pieniężną żeby módz wrócić do kraju, bo mu tęskno wśród obcych i żyć tam nie może.

Otrzymawszy na drogę sutą zapomogę, Kosiński wyruszył do Monachium, ale tam zapadłszy na zapalenie płuc skończył swe życie awanturnicze dawszy przykład wielkiej energji i siły woli.

## KORESPONDENCJE.

*Petersburg, 15. stycznia.*

*(M.)* Prasa petersburska i w ogóle cała rosyjska, powitała rok nowy bardzo pesymistycznie; tak pesymistycznie jak nigdy. Nie widzi wcale, ażeby chmury na horyzoncie państwa przetarły się choćby w jednym punkcie; jest zdania, że jak było tak będzie, z tą tylko chyba różnicą, że będzie coraz gorzej. Nie mówiąc nic o zepsuciu klas wyższych a nędzy u dołu, o ciągłych robotach rewolucjonistów i tym podobnych rzeczach, dobrze światu znanych, wolę natomiast dać kilka wyciągów z samych gazet rosyjskich; niech te świadczą o położeniu tutejszem. Stawią one wszędzie horoskopy prawdziwie desperackie. Biorę pierwsze lepsze które mi wpadły pod rękę: „Wewnętrzne wypadki nasze, *wewnętrzny nasz rozstrój* w jakim się znajdujemy, powiadają *Piet. Wiedomosti,* paralizowały jednocześnie i prawidłowy rozwój wewnątrz kraju naszego i wystąpienia nasze na zewnątrz w sprawach zagranicznych. Nadaremnie szukaliśmy przez rok cały przyczyn *złego,* które zakorzeniwszy się głęboko w społeczeństwie naszem, zadokumentowały się w tak okropnych objawach (zamachy na cara i ciągłe spiski), na jakieśmy przez cały rok z przerażeniem patrzyli. Poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu; korzeń zła nie został znaleziony. Jak tam gdzieindziej u góry (czytaj: w wyższych sferach rządowych), nie wiemy. Wiemy tylko, że w literaturze naszej, tej katedrze myśli naszej, nie znaleźliśmy ani jednego artykułu wyjaśniającego smutne położenie nasze, ani jednego wskazania: co robić? Nie można nie żałować, że szczere słowo, wypowiedziane choćby w najlepszym zamiarze, tak mało jest u nas dotąd (czytaj: przez rząd) cierpiane... Swoboda myśli i zdań dziś już jest konieczną. Przestaliśmy już od lat dwudziestu żyć życiem odosobnionem w kółkach tylko rodzinnych; dziś wszystko nas interesuje i żyjemy życiem ogólnem, sprawy ogółu nie są już dla nas rzeczą obojętną. Nowy skład rzeczy wymaga form nowych.“

To jest nowych form rządowych. Nigdy dotąd żaden dziennik nie śmiał tak przezroczyście przemawiać, a jednak rząd go nie zawiesił! Jestto oznaką, że rząd coraz bardziej zmuszonym jest liczyć się z opinją. Mamy tego dowód w powołaniu Wałujewa na wysokie stanowisko prezesa komitetu ministrów, a dalej targi z Szuwałowym, który nie chce objąć proponowanej mu teki ministra spraw wewnętrznych, zanim cesarz się nie zgodzi na zniesienie stanu oblężenia uciskającego winnych i niewinnych, i nie wyda ustawy prasowej, zamiast istniejącej cenzury prewencyjnej, kiereszującej na ślepo „szkodliwe“ i „nieszkodliwe“ byle tylko okazać idjotyczną gorliwość swoją w mniemanem chronieniu kraju od zarazy rewolucyjnej.

*Gołos* również śmiało przemawia. Widzi on wszystko w najczarniejszych kolorach, lecz nie widzi lekarstwa. Narzeka tylko, ale narzeka odważnie. Każdy z nas prawie, powiada pomiędzy innemi to pismo, występuje albo w roli konserwatysty, albo w roli zwolennika reform; chwali jedno, gani drugie, a chciałby czegoś nowego. Ale właśnie tym ludziom, dla których istnieje coś więcej jak życie zwierzęce i świetna karjera, żyć u nas bardzo ciężko: „Jeżeli taki człowiek występuje z wykazaniem niezbędnej konieczności pewnych zmian w zasadach społecznych lub państwowych, chociażby nie w innym celu, jak tylko właśnie w celu bronienia tych zasad przed taranem warjackich (nihilistycznych) teorji, to niechże będzie z góry pewnym narażenia się na niebezpieczeństwo wpadnięcia w podejrzenie (u rządu). Zaraz od niego wymagać będą, ażeby poczynił pewne zmiany w artykule swoim, ażeby poobcinał i do niepoznania zmienił zdania, które są dla niego drogiemi i wcale nie mają nic wspólnego z owemi teorjami warjackiemi. Jeżeli poczynie mówić o niezbędnem zaprowadzeniu ekonomicznych i finansowych reform, o uchyleniu rozmaitych nadużyć w administracji, o sponiewieraniu godności ludzkiej — to może być pewnym, że słowa jego zostaną wnet eksploatowane w sensie zamiaru budzenia namiętnosci niebezpiecznych.“ Jak w jednym tak w drugim wypadku skazanym on będzie co najmniej na odegrywanie roli biernej, a przypiszą mu takie dążności, o jakich nigdy nawet nie marzył. I dlatego będzie wolał pozostawać na stronie w roli widza obojętnego, po-

mimo, że mu serce pęka z żalu *na widok smutnego stanu ojczyzny.*"

Jedna tylko *Mołwa* ma jakieś nadzieje i czegoś się spodziewa, ale czego się spodziewa, sama dobrze nie wie — więc opuszczam co mówi, a zwracam się do jednego z najpoważniejszych czasopism tutejszych, do *Syna Otieczestwa*. Jakby odpowiadając na różne nadzieje *Mołwy* i na jej powinszowania szczęśliwego nowego roku, *Syn Otieczestwa* tak pisze: „Można życzyć i winszować od rana do wieczora; przedmiotu życzeń nigdy nie zabraknie; ale szkoda tylko, że nie ma najmniejszej nadziei, ażeby choć jedno życzenie tyczące się ulepszeń w ustroju naszym, miało szansę przemienić się w rzeczywistość. Nie winszujemy, nie życzymy nic, nie spodziewamy się niczego, bo nie chcemy nikogo tumanić. Nie spodziewamy się żadnych zmian na lepsze. Gdybyśmy łudzili publiczność nadziejami na lepsze, skończyłoby się to tak jak w owej bajce o słodkich miodach weselnych: po brodzie ciekło, ale do gęby się nie dostało."

Dla dokompletowania obrazu, przedstawiającego dzisiejszy stan Rosji, niech mi jeszcze będzie wolno przytoczyć słowa nowopowstałego pisma *Russkaja Riecz*. Są one nader charakterystyczne. Zarzuciwszy społeczeństwu swojemu, że śpi i o niczem nie myśli, autor tak maluje: „Lecz gdy lepsi ludzie nasi śpią tak spokojnie pogrążeni w apatji, nie mogąc strawić pokarmu w formie reform dawniej wydanych, mięsożerne tymczasem szakale, tuczące się zarywaniem gdzie i jak można, bynajmniej nie zasypiają gruszek w popiele. Grzech wytknięty w siódmem przykazaniu (to co u katolików jest w dekalogu Mojżesza szóstem, u prawosławnych jest siódmem przykazaniem), pożera nie tylko ciało nasze; zawładnął on zarówno i myślą i duszą naszą. W społeczeństwie naszem króluje cudzołóztwo myśli, cudzołóztwo naukowe, cudzołóztwo pracy — i wszyscy się pchają jeden przez drugiego, ażeby czemprędzej zostawszy reprezentantami cudzołóztwa, najbezczelniej potem w świecie przechwalać się niem w dodatku. I udaje się im to najszczęśliwiej; i nie starają się nawet, choćby dla zachowania jakiej takiej przyzwoitości, przykryć bezwstyd swój, choćby najlżejszą osłoną wobec tych, których eksploatują, z których wyciskają wszystko, co tylko można wycisnąć z takiego głupca jak człowiek. Złodzieje skarbu państwowego; grabieżcy grosza publicznego tak dobrze jak i prywatnego; dyrygenci mnóstwa szachrajskich zakładów finansowych na akcjach, szantażyści, polujący na skandal, ażeby pod grozą opublikowania, kazać się mu dobrze opłacić; rozpustnicy psujący kobiety zarówno jak dzieci; przedsiębiorcy - oszuści, lichwiarze, sprzedajni adwokaci, szynkarze i wyzyskiwacze, a wszytko to najrozmaitszych religji, narodowości i stanu — oto u nas ludzie cieszący się poważaniem i wpływem największym, oto drapieżne zwierzęta opływające we wszystko, bezustanku żujące szczękami swojemi nieznającemi wytchnienia — oto jacy to u nas pchają się na pierwsze miejsca, aby patronować wszystkiemu, aby wszystkiemu przewodzić, tak dobrze w nauce i literaturze jak i w salonach złocistych."

Przypomina to coś Romę za cezarów w upadku.

Lecz nie prorokujmy zbyt wcześnie. Caryzm nie postradał jeszcze sił wszelkich. Opiera się na zbyt umiejętnie złożonej a dotąd silnej machinie rządowej, by można było się spodziewać rychłej katastrofy. Jest dziś w ogromnych ambarasach, to prawda; ale do katastrofy jeszcze daleko. Pomijam wszelkie pogłoski o abdykacji Aleksandra II., jak również gadaniny, że dnia 2. marca przyszłego, w dwudziestą szóstą rocznicę wstąpienia swego na tron, zamyśla nadać rodzaj konstytucji. Na to się wcale nie zanosi. *Że nie obejdzie się* bez pewnych ustępstw „liberalnych", to bardzo być może, ale w takim razie będą to reformy w duchu Wałujewa — który, pomimo, że się przechwala, iż ma coś w sobie i Turgot' i Necker'a, wcale żadnym z nich nie jest. Jeśli ci nie umieli zdobyć decydującego wpływu u dworu, a tem samem zaradzić złemu, to tembardziej Wałujew. Ostatecznie jest to zawsze „dworak". I jeśli car ustąpi na kilka kroków narodowi swojemu, to uczyni to z własnej inicjatywy i woli.

Nie ma u nas dnia, ażeby przynajmniej jednego nie wpakowano za kratę. Drukarnie tajemne funkcjonują bez przerwy. Z licznych aresztowań, jakie miały miejsce ostatniemi czasy na prowincji, wspomnę tylko o jednem. W Mikołajewie nad morzem Czarnem znów aresztowano dwoch majtków z marynarki wojennej, jakiegoś żołnierza B. i podoficera L. Ten ostatni miał poczynić ważne zeznania naczelnikowi floty czarnomorskiej i portów, generał-adjutantowi Arkasowi. U aresztowanych w koszarach znaleziono pełne dwa kufry książek i odezw rewolucyjnych. Jak widzicie, propaganda nie przestaje sięgać do szeregów żołnierskich. Obaj aresztowani należą do tegoż samego 2. ekwipażu (bataljonu) floty, do którego należeli majtkowie Skornichow, Nikitin, Iwan Legowenko i kilkunastu innych w r. 1878. Legowenko został powieszony, dwaj pierwsi poszli na Sybir, reszta uciekła i dotąd nie odszukani. Ten Legowenko na wspólkę z żydem berdyczowskim Salomonem Witenbergiem (uczeń politechniki wiedeńskiej) o mało co w lecie 1878 nie wysadzili cara w powietrze za pomocą pyroksilinu. Przypadkiem policja zdołała na kilka godzin przed przyjazdem carskim do Mikołajewa odkryć druty baterji galwanicznej, źle ziemią przysypane, i Aleksander II. ocalał! Mina podsadzoną była w tem miejscu, którędy car koniecznie musiał przechodzić, udając się dla zwiedzenia portu. Zamach w Moskwie 1. grudnia roku przeszłego, był z rzędu drugą już próbą pozbycia się cara za pomocą sztucznego Wezuwiusza.

Przed czterma dniami zakończył swe obrady szósty z porządku „Zjazd przyrodników i lekarzy rosyjskich". Odbywał się przez dni dziewięć pod przewodnictwem profesora Keslera. Siedmset przeszło osób, tak mężczyzn jak kobiet-lekarzy brało w nim udział. Streszczenie zajmującego tego zebrania, zaprowadziłoby mnie za daleko. Ograniczę się tedy na powiedzeniu, że nie mam powodu wątpić, ażeby „Zjazd" ten, w którym byli ludzie rzeczywiście europejskiej sławy, nie przyniósł pewnej korzyści dla kraju, a nawet dla nauki w ogóle. Ale że u nas — chciałem powiedzieć w Rosji — nigdy nic się nie odbędzie jak u drugich, więc i zjazd ten nie przeszedł bez skandalu. Wielce szanowny i szanowany profesor uniwersytetu Tarchanow, wyłuszczał poglądy swe co do sposobów oznaczania ilości krwi w ciele ludzkiem. Teorja profesora nie podobała się doktorowi Bakst. Wstaje tedy i prosi o głos. Oświadcza, że w sposób jaknajbardziej przekonywający wnet zbije wywody profesora, w których nie widzi żadnej podstawy logicznej. Zbliża się do tablicy, bierze za kredę, i powiedziawssy zaledwie słów kilka, rysuje — „figę"! Ale to formalną figę! Powstaje hałas, uczeni zrywają się z fotelów, publiczność na galerjach świszcze. „Precz z nim, precz z nim za drzwi!..." Tumult nie do opisania. Przewodniczący dzwoni, kilku uczonych chwyta Baksta i odciąga od tablicy. Gdy ucichło nareszcie, wstaje znów pan doktor Bakst i znów prosi o głos. „Szanowne i prześwietne zgromadzenie, i ty szanowna śmietanko publiczności naszej! Protestuję przeciw pogwałceniu wolności słowa w mojej osobie i oświadczam, że przekonań moich co do teorji profesora Tarchanowa wcale nie zmieniłem."

Przewodniczący przerywa posiedzenie, Bakst bierze kapelusz i najspokojniej opuszcza salę.

Siódmy zjazd przyrodników i lekarzy rosyjskich odbędzie się w Odesie.

---

## Do mojej Warszawy.

PIOSENKA.

Piastunko moja! moja Warszawo!
Otwórz mi twoje objęcia!
Piosnkę ci niosę, prostaczą, łzawą,
Piosnkę wdzięcznego dziecięcia.
Pokrzywdzonemu — twoja dłoń biała
Koiła chłopięce łzy,
Tyś mnie karmiła, tyś kołysała
Moje marzenia i sny.

A gdy mi przyszło goryczy czarę
Wychylić i iść na znoje,
W tobie czerpałem siłę i wiarę,
Warszawo! jam dziecko twoje!
Nieubłaganej doli wyrokiem
Rzucony od ciebie w dal,
Wiodę za tobą stęsknionem okiem
I ślę westchnienia i żal.

Matko! i tutaj mam niebo jasne,
I jasne gwiazdy na niebie,
I serca ludzkie i gniazdo własne,
Wszystko! lecz wszystko bez ciebie!
I ciągle myślą za tobą gonię,
I piję twych wspomnień czar,
I załamane wyciągam dłonie
De drogich mi, zgasłych mar!

Warszawo! moja matko rodzona!
Czy ja cię kiedy zobaczę!
Czy kiedy padnę w twoje ramiona,
Jak niegdyś dzieckiem zapłaczę!
Dziś, o to jedno błagam tu Boga,
Ażebym w nagrodę prób,
Mógł jeszcze Matko! Warszawo droga!
Uklęknąć u twoich stóp.

*M. Rodoč.*

# SPADEK 500 MILIONOWY

**POWIEŚĆ**

## JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

*(Ciąg dalszy.)*

ROZDZIAŁ IV.

*Po połowie.*

Dnia 6. listopada, o siódmej godzinie rano, doktor Schultze przybył do dworca Charing-Cross. W południe zjawił się pod nr. 93 Southampton Row, w wielkiej sali przedzielonej drewnianą przegrodą na dwie strony — stronę pp. dependentów, i stronę publiczności; było tam sześć krzesełek, czarny stół, mnóstwo zielonych tek i dykcjonarz adresów. Dwaj młodzi ludzie siedząc przed stołem spokojnie spożywali ser z chlebem, tradycyjne śniadanie we wszystkich juryzdykcjach prawnych.

— Panowie Billows, Green i Sharp — rzekł profesor takim samym głosem, jakim żądał śniadania swego.

— Mr. Sharp jest w swoim gabinecie. Nazwisko pańskie? interes pański?

— Profesor Schultze z Jeny, sprawa Langévol.

Młody dependent wymruczał to objaśnienie w rozwarty koniec akustycznej trąbki i przez trąbkę własnego ucha usłyszał odpowiedź, której jednak nie powtórzył. Brzmiała ona tak mniej więcej:

„Do djabła! sprawa Langévol! Jeszcze jeden warjat, któremu się zdaje, że ma prawo do spadku!"

Odpowiedź młodego dependenta:

„Jest to człowiek mający powierzchowność „respectable". Nie ma przyjemnego wyrazu, ale twarz nie jest pospolitą."

I znowu tajemniczy wykrzyknik.

„I przybywa z Niemiec?"

„Tak mówi przynajmniej."

Westchnienie przebiegło akustyczną rurkę:

„Niech przyjdzie."

— Dwa piętra, drzwi na prost — rzekł głośno dependent, wskazując przejście wewnętrzne.

Profesor udał się w głąb kurytarza, wszedł na dwa piętra i znalazł się przed drzwiami, na których nazwisko Mr. Sharp, czarnemi literami wyryte, odbijało od miedzianego tła.

Jegomość ten siedział przed wielkiem biórkiem mahoniowem w gabinecie bardzo pospolitym, o pilśniowym dywanie, krzesłach skórą obitych i wielkich otwartych tekach. Zaledwie się podniósł z fotelu i, podług grzecznego zwyczaju biuralistów, zaczął przepatrywać papiery dla pokazania że jest mocno zajęty. Trwało to z pięć minut; nakoniec, zwracając się ku profesorowi Schultze, który usiadł koło niego, rzekł:

— Bądź pan łaskaw zawiadomić mię prędko czego życzysz sobie. Mam bardzo mało czasu i zaledwie minut kilka mogę poświęcić panu.

Profesor uśmiechnął się niby, okazując przez to, że bardzo mało go obchodzi ten sposób przyjęcia.

— Może, dowiedziawszy się co mnie sprowadza tutaj, zechcesz pan dodać jeszcze minut kilka do tych, które mi ofiarujesz teraz.

— Proszę mówić.

— Chodzi mi o spadek po Janie Jakóbie Langévol, z Bar-le-Duc, a ja jestem wnukiem jego starszej siostry, Teresy Langévol, poślubionej w 1792 r. mojemu dziadkowi Marcinowi Schultze, chirurgowi w wojsku brunswickiem, a który umarł w r. 1814. Posiadam trzy listy mego dziadka, pisane do jego siostry, i wiele tradycyj o jego bytności w domu, po bitwie pod Jeną, nie mówiąc już o dokumentach autentycznych, które poświadczają mój rodowód.

Nie potrzebuję szczegółowo powtarzać objaśnienia, które profesor Schultze dał Mr. Sharp. Wbrew zwyczajowi swemu, był on tym razem prawie rozwlekły. Prawda, że mówił o przedmiocie, w którym zwykle był niewyczerpanym. Chodziło mu bowiem o wykazanie Mr. Sharp, Anglikowi, że koniecznością jest, by rasa germańska wzięła górę nad wszystkiemi innemi rasami. Jeżeli teraz zamierzał upomnieć się o spadek ten, to dlatego szczególnie, by wyrwać go z rąk francuskich, które niedorzeczny tylko użytek zrobić zeń mogły!... W przeciwniku swoim nienawidził nadewszystko narodowość jego!... Gdyby chodziło o Niemca, nie nastawałby tak z pewnością, etc., etc., ale myśl, że jakiś tam mniemany uczony francuski mógłby użyć tego ogromnego kapitału na cele idei francuskich; myśl ta jątrzyła go ogromnie i wkładała na niego obowiązek dochodzenia praw jego, chociażby na przebój.

Na pierwsze wejrzenie nie było widocznego związku myśli między tem zboczeniem politycznem a bogatym spadkiem. Ale Mr. Sharp, nawykły do interesów, łatwo dostrzegł wyższy stosunek, jaki zachodził między narodowemi dążnościami rasy germańskiej w ogóle a szczególnemi dążnościami Schultza względem spadku Bégum. W gruncie rzeczy należały one do jednej kategorji.

Zresztą niepodobna było wątpić. Upokarzającem to mogło być dla profesora uniwersytetu Jeny, że łączyły go stosunki pokrewieństwa z rasą niższą. Nie podlegało wszakże wątpliwości żadnej, że babka, Francuzka, odpowiedzialną była po części za wytworzenie tego niezrównanego okazu ludzkości. Tylko pokrewieństwo to będące drugiego stopnia dawało mu też prawo drugorzędne, niższe, od praw doktora Sarrasina do owego spadku. Solicitor jednak widział możność podtrzymywania ich z pewnym pozorem prawności, a w tej możności dostrzegł inną, mającą zapewnić wielką korzyść spółce Billows, Green i Sharp: możność przeistoczenia sprawy Langévol, pięknej już teraz, w sprawę pyszną, będącą nowem przedstawieniem „Jarndyce przeciw Jarndyce" Dickens'a. Widnokrąg stemplowanego papieru, aktów, dokumentów rozmaitych przesunął się przed oczami prawnika. Jednocześnie jednak pomyślał o kompromisie, doprowadzonym przez niego, Sharp'a, między jego dwoma klientami, co przyniosłoby jemu, Sharp'owi, tyleż honoru, co i zysku.

Pomimo to wszystko, zawiadomił pana Schultze o prawach doktora Sarrasin'a, poparł je dowodami i dał do zrozumienia, że jeśli Billows, Green i Sharp podejmą się wystarać o to, by pozorne prawa profesora, — „pozorne tylko, mój kochany panie, i które, jak sądzę, nie ostałyby się w dobrym procesie" — które daje mu jego pokrewieństwo z doktorem, przyniosły mu jednak korzyść, to spodziewać się należy, że wysokie uczucie sprawiedliwości, wrodzone wszystkim Niemcom, łatwo zgodzi się na to, iż w takim razie Billows, Green i Sharp nabędą praw innego rodzaju wprawdzie, ale więcej pewnych do wdzięczności profesora.

Ten ostatni pojął doskonale całą logikę rozumowania Mr. Sharp'a. Kazał mu być zupełnie spokojnym pod tym względem, nic jednak wyraźnie nie określił. Mr. Sharp grzecznie prosił profesora o pozwolenie rozpatrzenia się w sprawie jego i z wielkimi względami odprowadził go aż do drzwi. Nie było już mowy o owych minutach ściśle porachowanych, które, jak powiadał poprzednio, tak mu były drogie!

Herr Schultze wyszedł, przeświadczony że nie ma żadnego rzeczywistego prawa do spadku Bégum; był jednak zarazem przekonany, że walka między rasą saksońską i łacińską nie tylko jest zawsze chwalebną, ale nadto, jeżeli się do niej wziąć dobrze, musi skończyć się na korzyść pierwszej.

Najważniejszą rzeczą było wybadać najprzód doktora Sarrasin'a. Depesza telegraficzna, niezwłocznie wysłana do Brighton, sprowadziła uczonego francuskiego koło godziny piątej do gabinetu solicitora.

Doktor Sarrasin z wielkim spokojem wysłuchał wiadomości o zaszłym wypadku; Mr. Sharp bardzo był tem zdziwiony. Na pierwsze słowa Mr. Sharp'a oświadczył z całą prawością, że pamiętał w istocie o tradycyjnie wspomnianej babce, którą wychowała była kobieta bogata i mająca tytuł, z którą też wyjechała była z kraju a wreszcie wyszła za mąż w Niemczech. Nie znał wreszcie ani nazwiska ani rzeczywistego stopnia pokrewieństwa tej babki.

Mr. Sharp uciekł się do notatek swych, starannie ponumerowanych i z zadowoleniem pokazał teki swe doktorowi.

Był w tej okoliczności — Mr. Sharp nie tail tego — materjał do procesu, a procesa tego rodzaju mogą długo bardzo ciągnąć się. Naturalnie, nie ma potrzeby wyznawać przed stroną przeciwną o owej tradycji familijnej, z którą doktor Sarrasin w szczerości swej zwierzył się właśnie przed swym solicitorem... Ale istniały owe listy Jana Jakóba Langévol'a, pisane do siostry, o których Herr Schultze mówił, i które przemawiały na korzyść tegoż. Była to rzecz niewielka wprawdzie, zupełnie pozbawiona prawnego charakteru, zawsze jednak miała znaczenie swoje... Inne też dowody mogły wypłynąć na wierzch z zakurzonych archiwów municypalnych.. Strona przeciwna mogła nawet, w braku autentycznych dokumentów, uciec się do sfałszowania onych. Należało wszystko przewidzieć! Któż wie, czy nowe poszukiwania nie wykazałyby, że owa Teresa Langévol, co tak nagle wyszła z pod ziemi, i jej przedstawiciele, mają prawa większe od tych, jakie posiada doktor Sarrasin?... W każdym razie przewidywać można długie procesowanie się, długie dochodzenie prawdy, i rozwiązanie jej niepewne. Przy prawdopodobieństwie znacznych zysków ze stron obu, utworzyłyby się zapewne dla każdej z nich komandytowe towarzystwa, mające na celu łożenie sum wielkich na koszta procesu i na wszelkie środki, które juryzdykcja dać może. Słynny proces takiego samego rodzaju przez osiemdziesiąt trzy lata ciągnął się w sądzie kanclerskim i skończył się tylko dla braku fundnszów: procenta i kapitał wszystko przezeń pochłonięte zostało!... Śledztwa, komisje, zjazdy, procedury trwałyby bez końca!... Sprawa

mogła być nierozstrzygniętą i za lat dziesięć, a pół miliarda drzemałoby wciąż w banku...

Doktor Sarrasin słuchał gadaniny tej i zapytywał siebie, kiedy się ona skończy. Chociaż nie brał za ewangelią tego co słyszał, jednakże rodzaj zniechęcenia wkradał mu się do duszy. Jak podróżnik, który stojąc na okręcie widzi że port, do którego pragnął przybić, oddala się, staje się coraz mniej wyraźnym a wreszcie znika, tak i on mówił sobie, że możebną jest rzeczą, iż ta fortuna, dla której wynalazł już użytek, ulotni się w końcu i zniknie!

— Ale cóż robić nareszcie? — spytał solicitora.

— Co robić?... Hm!... Trudno to powiedzieć. Trudniej będzie zrobić. Ale wszystko się mogło jeszcze ułożyć. On, Sharp, pewny był tego. Sprawiedliwość angielska jest doskonałą sprawiedliwością, — trochę za powolna może, zgadzał się na to, — tak, stanowczo, za powolną trochę, *pede claudo*... hm!... hm!... ale tem pewniejsza!... Z pewnością, za lat kilka doktor Sarrasin przyjdzie do spadku tego, jeżeli jednak... hm!.. hm!... prawa jego pokażą się dostateczne!...

Doktor wyszedł z gabinetu Southamptonrow z silnie zachwianą ufnością i z przekonaniem, że albo musi wdać się w nieskończone procesa, albo wyrzec się marzenia swego. Myśląc wówczas o swoim pięknym filantropijnym planie, nie mógł powstrzymać się od uczucia żalu.

Tymczasem Mr. Sharp wezwał do siebie profesora Schultze, który zostawił mu był swój adres. Oświadczył mu, że doktor Sarrasin nigdy nic nie słyszał o żadnej Teresie Langévol, zaprzeczał temu, by gałąź niemiecka istniała w rodzinie i stanowczo odrzucał wszelką ugodę. Jeżeli zatem profesor wierzy w siłę praw swoich, nie pozostaje mu nic innego, jak „procesować się“. Mr. Sharp, który w sprawie tej był najzupełniej bezinteresowny, przez prostą tylko ciekawość amatora nie myślał wcale odradzać mu tego. Czegoż mógł pragnąć solicitor, jeżeli nie procesu, dziesięciu procesów, trzydziestu lat procesu, jak się na to zanosiło w tej sprawie? On, Sharp, osobiście zachwycony tem był. Gdyby się nie bał, że profesor Schultze może go posądzić o nieszczerość, posunąłby swoją bezinteresowność do tego stopnia nawet, że wskazałby mu jednego ze swych kolegów, któryby się podjął jego interesów... A wybór takiego człowieka ważny był bardzo, z pewnością! Prawna karjera stała się wielką drogą!... Awanturnicy i zbóje mnożyli się na niej!... Przyznawał to z rumieńcem na twarzy!...

— Jeżeliby doktor zgodził się na ugodę, coby to kosztowało? — spytał profesor.

Mądry człowiek, słowa nie mogły go odurzyć! Człowiek praktyczny szedł prosto do celu, nie tracąc czasu na próżno! Mr. Sharp zmięszałsię trochę tym sposobem postępowania. Przedstawił Herr Schultze'mu, że interesa nie idą tak prędko; że niepodobna jest przewidzieć końca, jeżeli się jest dopiero na początku; że chcąc doprowadzić pana Sarrasina do ugody, trzeba zwlec trochę, by nie dać mu poznać, że on, Schultze, już teraz gotów był do ugody.

— Proszę pana — zakończył — pozostaw to mnie; spuść się na mnie, a odpowiadam za wszystko.

— Ja także — odpowiedział Schultze — ale wolałbym wiedzieć, czego się mam trzymać.

Jednakże tym razem nie mógł wydobyć z Mr. Sharp, do jakiej cyfry solicitor szacował wdzięczność saksońską i musiał pozostawić mu zupełną swobodę działania.

Kiedy doktor Sarrasin, wezwany nazajutrz przez Mr. Sharp'a, zapytał go spokojnie, czy nie ma co nowego do powiedzenia, solicitor, zaniepokojony tą spokojnością, zawiadomił go, że po ścisłem zbadaniu całej sprawy przekonał się, że najlepiej byłoby może ukrócić złe w samym jego początku i temu nowemu pretendentowi zaproponować ugodę. Doktor Sarrasin musiał przyznać, że była to rada zupełnie bezinteresowna, którą mało solicitors'ów byłoby dało na miejscu Mr. Sharp'a! Ale chodziło mu o szybkie załatwienie tej sprawy, na którą zapatrywał się oczami ojcowskiemi prawie.

Doktor Sarrasin słuchał tych rad i znajdował, że są względnie rozsądne. Tak bardzo oswoił się przez dni kilka z myślą natychmiastowego urzeczywistnienia swego naukowego marzenia, że wszystko podporządkowywał do tego planu. Teraz byłby to już dla niego srogi zawód, gdyby musiał czekać lat dziesięć, a chociażby tylko rok jeden, na wykonanie jego. Mało zresztą obznajomiony z kwestjami prawnemi i finansowemi, nie dał się wprawdzie złapać na piękne słówka Mr. Sharp'a, z łatwością jednakże odstąpiłby praw swoich za dobrą sumę, wypłaconą gotówką, którąby pozwoliła przejść z teorji do praktyki. Zostawił zatem Mr. Sharp'owi nieograniczone pełnomocnictwo również i wyszedł.

Solicitor otrzymał to czego pragnął. Prawda, że inny, na jego miejscu będąc, byłby uległ pokusie, rozpoczęcia i przedłużenia procedury, która dla jego bióra stałaby się wielkim dożywotnim dochodem. Ale Mr. Sharp nie należał do rzędu tych ludzi, co robią spekulacje na długi termin. Widział przed sobą możność zrobienia bogatego żniwa od razu i postanowił skorzystać ze zręczności. Nazajutrz napisał do doktora, dając mu do zrozumienia, że może profesor Schultze nie będzie bardzo przeciwnym do zawarcia ugody. Następnie za każdem widzeniem się to z doktorem Sarrasin'em to z Herr Schultze'm, mówił jednemu i drugiemu z kolei, że strona przeciwna nie chce słyszeć o niczem, i że na dobitkę słychać o trzecim kandydacie, zwabionym przynętą...

Gra ta trwała tydzień. Wszystko dobrze szło rano, a wieczorem zjawiała się jakaś nieprzewidziana trudność, która wszystko psuła. Dla poczciwego doktora były to wciąż zasadzki wahania się, niepewność. Mr. Sharp nie mógł odważyć się pociągnąć haczyka u wędki, tak się obawiał, by w ostatniej chwili ryba nie zaszamotała się i nie zerwała sznurka. Ale ostrożność ta była zupełnie zbyteczna. Od pierwszego dnia doktor Sarrasin, jak sam powiedział, dla uniknięcia nieprzyjemności procesu, gotów był do ugody. Kiedy nakoniec Mr. Sharp osądził, że nadszedł już moment psychologiczny, podług słynnego wyrażenia się, czyli, jak w jego języku mniej szlachetnym, że klient jego był „w sam raz upieczony“, wówczas nagle odsłonił baterje swoje i zaproponował natychmiastową ugodę.

Trafiał się dobroczynny człowiek, bankier Stilbing, który ofiarował się pogodzić strony, spłacając każdej z nich po dwieście pięćdziesiąt milionów, za co sam, jako wynagrodzenie za oddaną przysługę, miał wziąć tylko resztę z pozostałego pół miliarda, to jest dwadzieścia siedm milionów.

Doktor Sarrasin byłby chętnie uściskał Mr. Sharp'a, kiedy ten zaproponował mu to, co zresztą zdawało mu się jeszcze przepysznem. Gotów był podpisać, nic więcej nie żądał, a w dodatku głosowałby jeszcze za pomnikiem ze złota dla bankiera Stilbing, solicitora Sharp, dla całego banku i wszystkich pieniaczy Połączonego-królestwa.

Akta były spisane, świadkowie wezwani, maszyny do stemplowania z Sommerset House gotowe do działania. Herr Schultze poddał się. Przyciśnięty do muru przez M. Sharp'a, przekonał się ze drżeniem, że byłby nic nie dokazał z przeciwnikiem mniej łatwego jak doktor Sarrassin charakteru. Wkrótce sprawa skończyła się. Dwaj spadkobiercy zgodzili się na równy podział i wydali na to formalny mandat; poczem każdy z nich otrzymał czek na sto tysięcy liwrów szterlingów, płatny na okaziciela, i obietnicę ostatecznego załatwienia zaraz po dopełnieniu prawnych formalności.

Tak się ta dziwna sprawa zakończyła, na największą chwałę wyższości anglo-saksońskiej.

Powiadają, że tegoż wieczora, objadując w Cobden-Club z przyjacielem swoim Stilbing'iem, Mr. Sharp wychylił szklankę szampana za zdrowie doktora Sarrasin'a, drugą za zdrowie profesora Schultze, — i kończąc butelkę, wykrzyknął nierozważnie:

— Hurra!... Rule Britania!... My tylko jesteśmy jeszcze!...

A jednak bankier Stilbing miał przyjaciela swego za słabego człowieka, który dla dwudziestu siedmiu milionów upuścił pięćdziesiąt, a w gruncie i profesor także myślał to samo, od chwili, jak on, Herr Schultze, uczuł się zmuszonym do jakiegokolwiekbądź układu. I czegoż nie można było zrobić z takim człowiekiem jak doktor Sarrasin, Celt, lekki, zmienny i z pewnością marzyciel!

Profesor Schultze zasłyszał był o tem, że współzawodnik jego zamierza założyć nowe francuskie miasto, podług warunków hygieny moralnej i fizycznej, mających rozwinąć wszystkie przymioty rasy i utworzyć zdrowe i silne pokolenia. Zamiar ten wydawał mu się niedorzecznym, i podług jego mniemania, musiał nie udać się, jako przeciwny prawom postępu, które nakazują upadek rasy łacińskiej, ujarzmienie jej przez rasę saksońską, a nakoniec zupełne jej zniknięcie z powierzchni ziemi. Jednakże następstwom tym groziło pewne niebezpieczeństwo w razie, gdyby program doktora zaczął urzeczywistniać się, a tembardziej gdyby można było wierzyć w jego powodzenie. W interesie zatem ogólnego porządku i przez posłuszeństwo dla nieodmiennego prawa, każdy Saksończyk powinien był opierać się podobnie, szalonym planom. W tych zaś okolicznościach, jakie zachodziły właśnie, jasnem było, że on, Schultze, M. D. „privat docent“ chemji w uniwersytecie jenajskim, znany ze swych licznych prac porównawczych nad różnemi ludzkiemi rasami, — prac, w których dowiódł, że rasa germańska miała pochłonąć wszystkie inne rasy, — jasnem było nakoniec, że on to był szczególnie wyznaczony przez wielką siłę zawsze twórczej i zawsze nieszczęsnej natury do pokonania tych pigmejczyków, którzy się buntowali przeciw niej. Od wieków postanowionem zosało, że Teresa Langévol

poślubi Marcina Schultze, i że kiedyś obie narodowości staną naprzeciw siebie w osobie doktora francuskiego i niemieckiego profesora, i że ten ostatni zdruzgocze tamtego.

Zresztą projekt ten stał u Herr Schultz'a na dalszym planie; na pierwszym były inne zamiary daleko rozleglejsze; te miały na celu wytępienie wszystkich Indów, które wzbraniałyby się zlać z ludem niemieckim i połączyć z Vaterland'em. Jednakże chcąc poznać do gruntu, — jeżeli może tam być grunt, — plany doktora Sarrasin'a, którego nieubłaganym nieprzyjacielem mianował się odtąd, profesor postarał się wejść do międzynarodowego kongresu hygieny i pilnie śledził posiedzenia jego. Wychodząc właśnie z tego zgromadzenia, kilka członków jego, a między nimi sam doktor Sarrasin, usłyszeli pewnego dnia, jak profesor oświadczył: że w tymże czasie, co Francja. — Miasto powstanie inne jeszcze, mocne miasto, które nie da istnieć temu niedorzecznemu i anormalnemu mrowisku.

— Spodziewam się — dodał — że doświadczenie, które wykonamy nad niem, posłuży za przykład światu!

Dobry doktór Sarrasin, pomimo całej swej miłości ku ludziom, oddawna wiedział, że nie wszyscy bliźni jego zasługują na miano filantropów. Starannie zanotował sobie te słowa przeciwnika swego, bo jako człowiek rozsądny wiedział, że nie należy zapominać o żadnej groźbie. W jakiś czas potem, pisząc do Marcelego i zapraszając go do pomocy w zamierzonem dziele— opowiedział mu ten wypadek i tak dokładnie opisał Herr Schultz'a, że młody Alzatczyk powziął natychmiast przekonanie, że poczciwy doktor będzie miał w nim silnego przeciwnika. A że doktor dodał w swym liście:

— Potrzeba nam będzie ludzi silnych i energicznych, ludzi nauki i czynu, bo nie tylko nauczać ale i bronić się będziemy musieli.

Marceli mu odpisał:

— Chociaż nie mogę w tej chwili wziąć czynnego udziału w zakładaniu miasta waszego, proszę jednak rachować na to, że w razie potrzeby stawię się na wezwanie. Nie spuszczę z oka owego Herr Schultz'a, którego tak dobrze opisujecie. Jako Alzatczyk mam prawo zajmować się sprawami jego. Z daleka czy z bliska, oddany wam jestem. Jeżeliby, co zdaje się niepodobna, upłynęło kilka miesięcy, a nawet lat kilka bez wiadomości odemnie, to proszę być spokojnym. Z daleka czy z bliska, jedno tylko mam na myśli: pracować dla was, a zatem, służyć Francji."

(C. d. n)

## Kronika Tygodniowa.

*(Obchód rocznicy powstania. Sprawa wyborów do Rady miejskiej. Publiczne laboratorjum chemiczne. Posiedzenie Towarzystwa przyrodników. Sprawa konkursu imienia Fredry. Dramat Litwosa we Lwowie i w Krakowie).*

Według przyjętego zwyczaju, w rocznicę ostatniego powstania zebrali się ci, co goręcej czują, i obchodzili w kółkach mniejszych i większych pamiątkę wielkiej a bolesnej chwili. Na ziemi całej nie znajdziesz tak nieszczęśliwej doli, jak ta co nam w udziale przypadła. Wśród walk, które się wszędzie staczają o sprawy obchodzące ludzkość całą, o sprawy jej postępu, nam biernym tylko widzem być można i myśleć o tem, jak dojść do chwili odrodzenia, do chwili, kiedy swobodnie, samodzielnie, łącznie w szeregu innych stanąć będziemy mogli i przyjąć na siebie obowiązki, jakie człowieczeństwo wkłada. W tym całym akkordzie wolnych narodów jeden wyjątek, jeden dyssonans — Polska! Jak lody przed promieniem słońca znikają jarzma na narody nałożone. Jedne po drugich na świat się wyłaniają; jest wolna Ameryka, wolna Grecja, wolna Italja, nawet, o gorżkie doświadczenie losu! — wolna Serbja, — Bułgarja! Fala niepowstrzymana postępu, wynosi je z toni. Jeden tylko zapomniany, jakby dla urągowiska, jeden ominięty aż do tej chwili. Lecz prawa, które postępem ludzkości rządzą, nie znają wyjątków. Jest postęp niezaprzeczony, ogólny, bezwyjątkowy, któremu świadectwo historja daje i który jest tak koniecznym, jak koniecznem jest następstwo wiosny po zimie, dnia po nocy; zwątpić w nasz byt, to wątpić w postęp, przeczyć dnia jasności i ciepłu słońca!

Wspomnienie chwil takich, kiedy naród w dniu jednym ożył i szli wszyscy na śmierć i męczeństwo, nie patrząc na siły, pokrzepia i otuchy dodaje. Mocno ten wierzy, co wiarę stwierdza krwią własną.

* * *

Od onego nieszczęśliwego czasu minęło już lat siedmnaście. Krwi kałuże wsiąkły w ziemię bez śladu, łzy na powiekach oschły, a pono i krzyki potępienia już milkną. Minęło lat siedmnaście — upłynione czyny głoska po głosce wpisują się w dzieje; toż i te po kraju rozsiane mogiły pokryte obecnie białym całunem, niby zmarszczki wyryte na obliczu naszej ziemi, świadczą o doznanej krzywdzie. Dorastające pokolenie ma ułatwioną naukę. Dzieje nasze stuletnie pisane krwią, a szubienicą i mogiłami znaczne, łacno wdrążają się w pamięć. Czynów krwią rumianych nie zdołają zblakować słowa oszczercze. Rząd rosyjski nie wyprze się zbrodni i gwałtu dokonanego na naszym narodzie, bo przeciw niemu zaświadczą mogiły. My spokojni na sumieniu, aczkolwiek w rozpaczy i w największym bolu, spełniliśmy nasz obowiązek. Powstanie w r. 1863 wiele wyrządziło strat i mnogo pochłonęło ofiar, atoli natomiast wzmógł się zastęp narodowy— bracia od warstatu i od pługa złożyli na ołtarzu ojczyzny zadatek obywatelskiej dani. Daj Boże! aby naród powtórnie tak wielkim kosztem nie potrzebował więcej kupować sił mu potrzebnych na przyszłość. — Daj Boże! aby to piętno powstaniem r. 1863 wyciśnięte na narodzie rosyjskim, było dlań dostatecznem do opamiętania się i do poczucia sprawiedliwości.

* * *

Uderzającym w oczy faktem jest, że miasto nasze zobojętniało na wszystko, co dawniej z taką starannością pielęgnowało, na te walki ożywione, czy to politycznej natury, czy czysto miejscowej, jak wybory różnego rodzaju. Bliski już wybór nowych stu ojców miasta nie zainteresował nawet tyle, żeby o tem chociaż cokolwiek w dziennikach pisano. Oba niezawisłe pisma codzienne milczą uporczywie i zaledwie od czasu do czasu jakaś króciutka wzmianka, zwykle najzupełniej bezbarwna. Natomiast pokątnie, na jakichś zgromadzeniach odbywają się narady — których rezultatem wyrzucanie ze swego grona tych lub owych członków i rubaszno - zamaszyste polemiki w drobnych pisemkach miejscowych. Zdaje nam się, że abstynencja większych dzienników w tej sprawie jest po prostu szkodliwą, bo pozwala na szerzenie się pokątnej agitacji, która dajmy na to że teraz jeszcze zbyt mało znaczy, ale gdy się jej tamy nie położy, to z czasem może sprowadzić prawdziwą inwazją mniej cywilizowanych żywiołów do naszej miejskiej rady. Czemuż „Dziennik Polski" i „Gazeta Narodowa" milczą tak uporczywie?

* * *

Otworzono w mieście naszem instytucję, która krajowi oddać może znaczne przysługi, a która miastu naszemu należała się oddawna. Jestto doświadczalna stacja chemiczna, która została założoną przez towarzystwo aptekarskie i oddaną na użytek publiczny. Nie wątpimy, że zakład ten pomyślnie się rozwijać będzie, czuła się go bowiem wielka potrzeba. Rolnik postępowy, chcący poznać dobrze skład swojej gleby, tanim kosztem i prędko dostanie informację. Nieraz w pokładach ziemi znajdują się warstwy rudonośne, o których wartości trudno się zaraz przekonać, i trzeba było dużo zachodu, żeby mieć ich rozbiór dokładny. Nowo założone laboratorjum da w takich wypadkach szybką odpowiedź. W żywności, którą nam dostarczają, w napojach coraz częstsze są fałszerstwa. Powymyślano najdowcipniejsze sposoby, abyśmy jedli i pili co innego, niż myślimy, w przekonaniu, że pożywamy autentyczne strawy. Sztuka i nauka na to się wysiliły. Malarstwo, farbiarstwo i t. p. odgrywają wielką rolę w nowoczesnych oszustwach. I tutaj pracownia nowa może dać najpewniejsze wskazówki. To też polecamy ją wszystkim i sądzimy, że w trudnych początkach znajdzie poparcie. Kierującym tem laboratorjum jest dr. Wąsowicz.

* * *

We Wtorek odbyło się posiedzenie Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika. Prof. Zajączkowski mówił o sposobie nauczania początków wyższej matematyki i podniósł, że starać się należy o ile możności unikać takich zasadniczych przypuszczeń, któreby już wymagały od ucznia pewnego wyższego przygotowania, a natomiast opierać się na najprostszych regułach, nie potrzebujących szczegółowego a ponownego udowodnienia.

Następnie zabrał głos rektor szkoły politechnicznej, Julian Niedźwiedzki i w sposób nader jasny a obrazowy przedstawił najnowsze poglądy geologów na sposób ukształtowania się powierzchni środkowo-europejskiej, w której skład wchodzą Niemcy, Polska i Litwa. Na całej tej powierzchni spotykamy najregularniej uławicone piaski, iły i gliny, co odrazu przemawia za tem, że osadziły się one z wody, a oprócz tego znajdujemy mięszaninę tych składowych części z kamieniami rozmaitego gatunku, w postaci zawikłanej i nieporządnej, które w nieregularnych masach bardzo często się spotykają. Jest to tak zwany przez Niemców *Geschiebelehm.* Dalej na całej przestrzeni znajdują się rozsiane ułamki skał, oszlifowane nieraz i zaokrąglone, które na pierwszy rzut oka niewiadomo zkąd pochodzą. Są to tak zwane błędne kamienie, przybłędy, bloki erratyczne. Gdy je bliżej zaczęto badać, przekonano się, że są to często kawałki ułamane z gór skandynawskich, których przywędrowanie z tak dalekich okolic starano się w rozmaity sposób

wytłumaczyć. W każdym razie pewną jest rzeczą, że lód grał tu wielką rolę, właśnie w tak zwanej epoce lodowej, gdy temperatura była wskutek niedokładnie dotąd zbadanych przyczyn niższą niż obecnie, i lodniki z gór zeszły na doliny i pokryły ląd cały. Na ich to barkach przywiezione zostały z gór skandynawskich owe kamienie, które potem po stopieniu się zostały na całej, poprzednio lodami pokrytej płaszczyźnie. Te same lodniki, sunąc się jak lodowe rzeki naprzód, szlifowały skały po drodze, czego ślady dotąd widzimy, pchały przed sobą kamienie, glinę, piasek, i zostawiły je tam w postaci nieregularnych brył, które w Niemczech noszą jak wspomnieliśmy miano: Geschiebelehm. Piękny wykład rektora Niedźwiedzkiego przyjęty był oklaskami.

* * *

Otrzymaliśmy kilka listów w sprawie przyszłorocznego konkursu dramatycznego we Lwowie imienia Fredry. Zapytują jaki jest termin i gdzie komedje nadsyłać należy. Odpowiedzi na to dać nie możemy, bo konkurs nie został jeszcze ogłoszony na rok przyszły i nie wiemy kiedy to nastąpi i czy w ogóle nastąpi. Przecież jeszcze dotąd nie załatwiono zeszłorocznego. Ciągnie się ta sprawa prawie wieczność całą, jak owa Dikensowska Jarndyce contra Jarndyce. Dotychczas nie ma wyroku ostatecznej komisji, chociaż doprawdy nie wiemy nad czem mają tak długo deliberować. Wystawiono wszystkie sztuki polecone do grania. (Na dwóch stołkach, Kochać i Kochać, Zabiegi), jeden z punktów konkursu wyraźnie powiada, że nagroda musi być przyznaną, więc dać ją najlepszej i basta! Jeszcze można byłoby się namyślać, gdyby sztuki były równej mniej więcej wartości, ale w tym wypadku dwie są niemożliwe, jak to uznał głos ogółu i w ogóle każdy, który je widział, więc motywów zwłoki nie pojmujemy wcale.

* * *

Zabawna jest rzecz, do jakich sprzeczności dochodzą nieraz krytyki o jednym i tym samym przedmiocie. Łatwemi są one do wytłumaczenia, gdy idzie o rzeczy smaku, o stronę artystyczną przedmiotu. Lecz gdy utworowi jakiemuś jeden krytyk przypisuje taką tendencję, a drugi wprost przeciwną, tego już zawiele! Takich sprzecznych ocen doczekał się dramat Litwosa „Na jedną kartę“. Gdy go we Lwowie wystawiono, oburzano się na tedencję dramatu anti-demokratyczną. Widziano w nim wystawienie w złem świetle ludzi, którzy z gminu pochodzą i własną pracą zdobywają sobie pierwsze stanowisko w kraju. Inaczej zupełnie w Krakowie. Recenzent „Czasu“ co chwila robi autorowi przycinki do jego demokratycznych tendencyj i widzi w dramacie wyśmianie arystokracji jako części społeczeństwa, która już się wyrodziła i znajduje się w wstecznym rozwoju. Czy dramat Litwosa jest tak niejasnym, czy też miary, które we Lwowie i Krakowie do przekonań przykładają, różnią się tak ogromnie i to co tu jest białem, tam ma być koniecznie czarnem?

---

## PISMIENNICTWO POLSKIE.

*Pisma Henryka Sienkiewicza Tom I. (Stary sługa. Hania. Szkice Węglem. Janko muzykant) Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa. 1880.*

Autor piszący pod pseudonimem Litwosa — który dał się u nas poznać głównie z prac w Tygodniu umieszczanych, wydał obecnie te prace w osobnym tomie. W ostatnich czasach posuchy literackiej, pojawienie się tych kilku nowel i powieści, ożywionych prawdziwym talentem jest faktem zwracającym powszechną uwagę i w ognisku naszego życia umysłowego, w Warszawie, zajmują się niemi, jak zapowiedzią lepszych czasów w literaturze. Ponieważ te prace drukowane były w łamach naszego pisma, więc wydanie o nich sądu szczegółowego, nie do nas należy; oddajemy też głos jednemu z pierwszych krytyków warszawskich, panu *Piotrowi Chmielowskiemu*, który w ostatnim zeszycie Ateneum, taką daje ocenę:

P. Sienkiewicz jest to obserwator nadzwyczaj bystry i umysł intuicyjny. Patrzy na świat trzeźwo bez żadnych uprzedzeń, bez żadnych z góry powziętych formuł, bez teorji naukowych lub niby naukowych; odczuwa głęboko wszystkie radości i boleści swego społeczeństwa, bierze serdeczny udział w jego kłopotach, zawodach i nieszczęściach. Ztąd ma szerokie pojęcie o naturze ludzkiej w ogóle; interesują go zarówno subtelne odcienia uczuć jak rubaszne lub trywialne objawy prostaczych instynktów, zarówno umysłowe walki spółczesnej cywilizacji jak bójki pięściowe, zarówno natury wybuchowe jak płytkie i powierzchowne, zarówno temperamenta sangwiniczne i wesołe, jak skupione w sobie i refleksyjne. Umie więc doskonale tę rozmaitość natury ludzkiej, te niewyczerpane jéj odcienia na światło wywieść; zna wybornie odrębny sposób zachowania się, odmienne szeregi myśli i uczuć, różne właściwości mowy i stylu, jakiemi się usposobienia wewnętrzne ludziom poznać dają. Ale nie dosyć na tem. Nietylko zakres pojęcia jego o człowieku jest obszerny, że nie powiem wszechstronny, umie on nadto rysować też same postacie ludzkie nietylko w jednej sytuacji, która w danym razie jest potrzebna dla osiągnięcia całości w utworze, ale w sytuacjach różnych, wykazujących nam, jak też postać weseli się lub smuci, oddaje się nadziei lub rozpaczy. Wie bowiem autor, że chcąc stworzyć postać żyjącą, należy ją pokazać ze wszystkich stron, nie zaś z jednej, bo inaczej człowiek przedstawia się w towarzystwie osób obcych, inaczej w rodzinie, inaczej w samotności lub w obec serdecznego druha lub kochanki. Nie ułomek, ale całość człowieka nakreślić: oto zadanie powieściopisarza i dramaturga.

To się nazywa mieć talent plastyczny. Posiada go p. Sienkiewicz w bardzo wysokim stopniu a wykazał go najwspanialej w *Hani* i w *Szkicach węglem,* jakkolwiek w najdrobniejszych nawet utworach wyraźnie widzieć się daje.

Trudno sobie pomyślić treść bardziej powszednią i częściej zużytkowaną przez naszych powieściopisarzów nad tę, którą się posługiwał p. Sienkiewicz do napisania swej *Hani.* Dwu gołowąsów kochających się w jednej pannie a z sobą serdecznie zaprzyjaźnionych, panna przenosząca wesołego i żywego nad melancholicznego trochę i refleksyjnego; wykradzenie dokonane przez wesołego; pojedynek, choroba dwu powieściowych figur, zeszpecenie panny przez ospę, ostudzenie zapałów w kochankach, zmuszenie jednego z nich przez ojca do wytrwania w konkurach i poświęcenie się panny na siostrę miłosierdzia celem wybawienia z kłopotu siebie i innych: cóż nad te wypadki i uczucia pospolitszego i zwyczajniejszego? A jednak gdy się czyta powieść, nawet na myśl nie przyjdzie wyrażenie, że to temat zużyty, że to rzeczy znane i oklepane... Nie, oklepanemi one nie są, chociaż są znane, bo całą świeżość nowości nadaje ta naturalność, z jaką się wypadki przed nami rozwijają, ta żywość postaci, które ani na chwilę nie przestają być sobą. Doznaje się takiego wrażenia, jak gdyby się słuchało opowiadania o zdarzeniach rzeczywistych, o osobach, które są nam doskonale znane, o których istnieniu ani na mgnienie oka powątpiewać nie możemy.

Sam opowiadacz nigdzie nie pozuje na bohatera; jest on młodzieńcem żywo czującym, troszeczkę melancholikiem a raczej umysłem bardziej w sobie zamkniętym, niż wynurzającym się ze swoich wrażeń a szczególniej ze swoich uczuć; drażliwy, a zarazem silny charakterem, ma on w sobie pewną zaciętość, która woli się zaprzeć swojego usposobienia chwilowego niż doznawać litości choćby od osób najukochańszych; ma tę energią, która nie umie wprawdzie przewidywać i uprzedzać niemiłych wypadków, ale która potrafi wytrwałością cudów dokazywać i zdobyć się może na wybuch gwałtowny, choć chwilowy. Z uczuciami swemi postępuje jak skąpiec ze skarbami, nie ukazuje ich nikomu, nawet tej, której sympatją zyskaćby pragnął: raczej gniewem i wymówkami daje poznać stan swego serca, niż wyznaniami namiętnemi i ognistemi. Tylko w samotności, gdy wyobraźnią przywoływał postać ukochanej rozwiązywały mu się usta i szeptał sobie z całym zapałem i z całą przesadą młodzieńczego uczucia, „kocham jej postać, kocham jej oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy; kocham każdą jej sukienkę, powietrze, którem oddycha; żyję tylko tą miłością, płynie ona we mnie jak krew, bije odemnie jak ciepło; dla innych może istnieje coś obok miłości, dla mnie cały świat istnieje w niej, nic po za nią“. Tak jest miłość ta łączyła się najściślej z piękną i świeżą postacią, ze zgrabną sukienką, z ładnem uczesaniem włosów; gdy ospa zeszpeciła tę twarz i miłość odleciała na skrzydłach sokoła; pozostawiając tylko wspomnienie tęskne i bolesne, bo umysł 17-letniego młodzieńca zbyt głęboko przechowywał wrażenie, ażeby miał szybko o swojej miłości zapomnieć...

Gdyby autor poprzestał na wskazaniu nam tej tylko strony jego charakteru, poznalibyśmy drobną jedynie cząstkę jego życia. A jednak to życie nie może pójść na ofiarę jednego uczucia, jednego położenia. To też p. Sienkiewicz daje nam go poznać i ze stron innych. Jak przepysznie wygląda Henryk ze swoją opiekuńczą powagą, gdy po śmierci starego sługi, każe dać nakrycie dla Hani i panienką ją nazywa; jak świetnie przedstawiona jest chwila, w której znużona dziewczyna z całem zaufaniem siostry opiera się na jego ramieniu i usypia. A tenże ustęp z życia uniwersyteckiego, kiedy dumny biedak z zarodami suchot w piersiach, zaciągając się papierosami jak nikt w Warszawie, wykłada aspirantom do stanu akademickiego nowe teorje niezbyt dawno zdobyte a nieprzetrawione jeszcze i kiedy podpity już dobrze Henryk odzyskuje przytomność na wspomnienie Hani, której imię sprofanował towarzysz w winiarni! Albo ten drugi ustęp jeszcze piękniejszy, bo większą prawdą nacechowany, kiedy zmartwiony niepowodzeniem kochanek wyprawia się do lasu na wilka, idąc za żyłką myśliwską, która w nim pomimo strapień miłosnych drga bardzo wyraźnie. Ten epizod z prawdziwie epi-

ckim spokojem przedstawiony, jest jednym z najwymowniejszych świadectw tego niepospolitego talentu, który maluje ludzi, jakiemi są w drobnych nawet szczegółach, nie lękając się, żeby przez to zepsuli wrażenie, które zamierzyli sobie osiągnąć i żeby uszczerbek całości zrobili. Mniej utalentowany, albo mniej przedmiotowy powieściopisarz nie zechciałby wstawiać pomiędzy dwie sceny wysokiego nastroju walki tej sceny powszedniej, w której kochanek tem tylko zajęty, ażeby dobrze w wilczycę wycelować; nie chciałby i zrobiłby źle, gdyż nie przedstawiłby nam życia w jego pełni.

Selim Mirza to temperament sangwiniczny, natura wesoła, żartka i bujna, skłonna do uniesień, żądna wrażeń, wypowiadająca wręcz co czuje i myśli, energiczna i czynna. Miłość jego ma zawsze charakter uśmiechnięty; marzyć i rozpływać się we łzach nie lubi i nie może, na troski ma wyborne lekarstwo w rozrywce byle jakiej, która odciągnie myśli smutne a powróci wesołe. Miłość ta nie będzie długotrwała: pokochawszy Józię Selim zapomni o niej dla Hani, wykradnie ją, dostanie naganę a może i bizuny od ojca, rozstanie się z ukochaną i będzie zdrów, humoru nigdy nie straci, serce ma otwarte na przybycie nowego uczucia. Co wejdzie w ten umysł, to zaraz wychodzi nie pozostawiając zbyt głębokich śladów. Ale też taki chłopak, to ulubieniec każdego towarzystwa, lubi go melancholiczny Henryk, lubią go starzy, lubią kobiety takie jak pani d'Yves, kochają go Józie i Hanie. I nic dziwnego; razem z jego pojawieniem się, zjawia się wesołość, chęć głośnej i ożywionej rozmowy, wywnętrzania się, paplania, świegotania i płatanie figlów. W każdym jego ruchu, w każdem słowie czuć tę żywotność nieprzebraną, która lubi ożywienie i umie ożywiać wszystko i wszystkich.

W powieści p. n. *Selim Mirza,* mamy dalszy rozwój jego charakteru. Jako młodzieniec bogaty, pędzi życie hulaszcze w Paryżu, kocha się powielokrotnie, zabiera najrozmaitsze znajomości, puszcza się wreszcie na awanturniczą wyprawę w szeregi wolnych strzelców podczas wojny francusko-niemieckiej i ukazuje się nam w postaci przebiegłego Tatara, który chce wywrzeć straszną zemstę na spółzawodniku swoim. Dochodzi tylko do jego upokorzenia, ale życiem przypłaca to nasycenie miłości własnej. Jakkolwiek w tej późniejszej historji życia Selima Mirzy wiele jest rysów trafnych i jakkolwiek doskonale utrzymany został jego charakter żywy, skłonny do wybuchów, znoszący z łatwością wszelkie niewygody i nigdy nie zakłopotany; a dość szczęśliwie rozwinięta została rodowa jego przebiegłość; to przecież czuć, że autor brał tu wiele żywiołów z fatazji, z czytania, a nie z obserwacji życiowej i nie potrafił należycie uwydatnić rozwoju charakteru w głównym bohaterze. Może sam uczuł te niedostatki, które sprawiają, że postaci w tym jego utworze występujące są szkicowe, a nawet trochę na cienie zakrawają: i dla tego nie wcielił go do zbiorowego wydania pism swoich.

Ale wracając do *Hani* słówko o bohaterce. Córka starego wiernego sługi, za życia ojca nie wiele się uczyła, nie wiele miała śmiałości do państwa, ale po jego śmierci przyjęta do rodziny państwa, w nader szybkim czasie, bo w przeciągu sześciu miesięcy wyrosła na pannę pewną siebie, zgrabną w ruchach, śmiałą, rozmawiającą swobodnie o uczuciach i o innych rzeczach. To przedzierzgnięcie się poczwarki w motyla może jest za nagłe; prawda, że kobiety prędko się rozwijają i dojrzewają, prawda, że posiadają niezmierną łatwość w przyswajaniu sobie wszystkich cech „dystynkcji“, ale jak wszystko na świecie, tak i to nie przychodzi raptownie, bez stopniowań i odcieni. A w dworku szlacheckim, w którym ten okres dojrzewania upływał, nie miała wiele sposobności do nabrania salonowego poloru i salonowej pewności siebie. Przynajmniej autor o nich nie wzmiankuje; przez usta jedynie księdza mówi coś o romansach czytywanych ukradkiem jako o środku przeobrażenia. Ale i ta nawet strona nie razi w utworze, który ma formę spowiedzi szczegółowej jednego z kochanków; nie mógł on bowiem jako bawiący naówczas w Warszawie obserwować faz przeobrażenia, a zatem nie mógł ich nam opowiedzieć; przyjechawszy zaś do domu i ujrzawszy zmianę, więcej był zajęty samą tą zmianą, aniżeli jej pobudkami i przyczynami. Zresztą Hania nie posiada cech wybitnych i to właśnie stanowi jej charakterystykę: jest szczera i serdeczna, ale wówczas gdy zainteresowane jest jej uczucie, staje się przebiegłą, niedomyślną, trochę nawet surową; jest bierna, ale w chwili, gdy idzie o zabezpieczenie popędu swego serca, decyduje się na krok stanowczy; jest egoistką jako zakochana, ale nie wymaga poświęceń, sama zostaje siostrą miłosierdzia, aby nie zmuszać do niemiłych ślubów nikogo, ani tego, co ją kochał, ani tego, którego i ona kochała.

Gdybym chciał wszystkie piękności tej powieści wyliczyć i wskazać dar plastyczny w odtworzeniu zarówno przepysznej figury księdza i guwernantki, ojca Henryka w scenie pojedynku i ojca Mirzy, przyjmującego syna i sąsiada—farsy i jego córeczki; to musiałbym sprawozdanie swoje nad zamiar rozszerzyć, a jeszczebym i tak nie wykazał, co jest prawdziwem i pięknem w tem wykończonem dziele sztuki. Nie jest to utwór porywający; ale jest to rzecz przynosząca to ukojenie, jakie nam daje istnie artystyczne utworzenie prawdy życiowej z historji stosunków serdecznych, tak powszednich, a tak zawsze nowych i ciekawych. (Dok. n.)

## WIADOMOŚCI z KRAJU i ze ŚWIATA.

### Literatura.

*** Kosmos, czasopismo polskiego Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszycie X i XI. z r. 1879 zawiera: 1 Rafy dolomityczne w formacji wapienia muszlowego na Górnym Szląsku, napisał dr. A. Mikołajczak. 2. O cieple ziemi. Streszczenie wykładu prof I. Niedźwieckiego na posiedzeniu Tow. imienia Kopernika dnia 29 kwietnia 1879 r. 3. O zasadniczych prawach przyrody. Napisał dr. Oskar Fabian. 4. O mylnem tłomaczeniu zjawiska przypływu i odpływu wód oceanu. Napisał Roman Gostkowski. 5. W kwestji praw mikrofonu, napisał J. Ochorowicz. 6. Kronika naukowa przez H. W. L, Hodolego, R. Zubera i dr. M. D. Wąsowicza. 7. Wiadomości bieżące.

*** Wydział czytelni polskiej Akademików górniczych w Loeben, ogłosił drukiem sprawozdanie z czynności za rok 1878/79, z którego podajemy następujące cyfry: Członków honorowych trzynastu członków zwyczajnych trzydziestu i nadzwyczajnych dwóch. Dochody wyniosły w r. 1878/9 złr. 582 ct. 29 rozchody zaś złr. 549 ct. 87 — pozostało więc na rok 1879/80 jako kapitał obrotowy złr. 32 ct. 41. Kapitał żelazny czytelni wynosi złr. 156 ct. 18.

*** W Petersburgu wyszły w tych dniach w przekładzie p. Grimma „Bajki poskie“, Jestto przeznaczony dla dzieci wybór klechd Wójcickiego i Balińskiego.

*** Księgarnia Gebethnera i Wolffa zamierzyła, dla zaradzenia istotnej potrzebie, wydać nowy polski przekład dwutomowej „Historji literatury powszechnej“ Jana Scherra.

Przekładu dokona p. Bronisław Zawadzki, uzupełniając oryginał niemiecki w częściach odnoszących się do piśmiennictw słowiańskich, tudzież doprowadzając historję literatur żyjących do ostatniej współczesnej doby.

Dawny przekład Scherra, dokonany przez Gliszczyńskiego, od dłuższego już czasu został wyczerpanym.

Kilka oryginalnych naszych podręczników nie odpowiedziało trudnemu zadaniu, tak że najstósowniejszym wydał się ponowny wybór dzieła niemieckiego o wypróbowanej wartości, napisanego gruntownie, przedmiotowo i przystępnie dla ogółu inteligentnych czytelników.

*** „Autobiografia Karola Dickensa.“ W augsburskiej „Allgemeine Zeitung“ wydrukowano pewną ilość listów Dickensa. Z listów tych, komunikujemy jeden, pisany do słynnego powieściopisarza, Wilke Collinsa, pod 6. stycznia 1856 r., w którym znaleść można potwierdzenie wszelkich stosunków powieści Dickensa, o ile one wzięte zostały z osnowy życia samego poety. „Kochany Collinsie! — pisze Dickens. Nie zdarzyło mi się ani razu przeczytać o sobie jakichś dokładnych szczegółów, mianowicie żadnej biograficznej notatki. Nie udzielam redaktorom i kompilatorom żadnych w tym względzie szczegółów dla tego, aby mnie zbyt często nie niepokojono. Jeżeli pan chcesz poinformować Torgueza, możesz mu powiedzieć, nie obawiając się popełnienia omyłki, że urodziłem się 7. lutego 1812 r. w Portsmouth; że ojciec mój był urzędnikiem przy urzędzie celnym marynarki, że gdym był bardzo młody, zabrał mnie do Chatham, gdzie byłem chowany do 12 lub 13 lat mego życia. Następnie oddano mnie do pensjonatu w pobliżu Londynu, gdzie (podobnie jak w wielu innych miejscach) odznaczałem się jako dzielny chłopiec („like a bricke“), że dalej po kilku latach (o ile sobie przypomnieć mogę) z niebiańską albo diabelską energią („celestial or diabolical“) studjowałem przedmioty, któreby mnie mogły wykierować na wybornego parlamentarnego sprawozdawcę. Jest to zawód, któremu się poświęcają młodzi utalentowani prawnicy. Mając lat 18, debiutowałem na galerji parlamentarnej, jednocześnie zajęty byłem pisaniem nieistniejącego już dzieła p. t. „Zwierciadło parlamentu“. Dalej brałem udział współpracowniczy w „Morning Chronicle“, gdy ta zostawszy własnością Johna Castłape, zyskała znaczną popularność. Ta pozostała aż do chwili rozpoczęcia „Pickwicka. Wtedy też porzuciłem chęć dorabiania się nadal sławy na drodze reporterskiej mimo znacznego w tym kierunku wyrobienia (mniemam, że dotychczas jestem najlepszym stenografem na świecie). Jednocześnie zacząłem pisywać artykuły do starego „Montly Magazine“. Złożyłem dowody talentu do opisowości, gdy byłem jeszcze w „Morning Chronicle“ — wtedy też zyskałem uznanie i sowite wynagrodzenie, zaś większą część opisów „Sketches by Boz“ w temże piśmie wydrukowałem. Już w dziesiątym wieku („when I was amere baby“) byłem pisarzem i aktorem. Ożeniłem się z córką edinburgskiego adwokata, który był szczerym przyjacielem i doradcą prawnym pana Walter Scotta. Jeżeli pan pragniesz innych szczegółów co do publikacji moich książek, to racz się zwrócić do Willsa: on je panu dostarczy. Po raz to pierwszy powyższe szczegóły z życia swego kreślę, przeglądając zaś je, wydaje mi się jakobym był dzikiem zwierzęciem w menażerji, które w nieobecności swego stróża samo się opisuje. Karol Dickens“.

*** W Berlinie ukazało się studjum nieznajomego autora p. t. „Die Befestigung und Vertheidigung der deutsch-russischen Gränze. Der deutschen Armee dargestellt von einem deutschen Officir“. Książka ta, równie jak poprzednia o niemiecko-francuskiej granicy, silnie zainteresowała koła wojskowe, jako pochodzące widocznie z pod pióra kompetentnego. Autor rozjaśnia ogólne ukształtowanie granicy, mówi o sieci kolei żelaznch obu państw itd.

*** Hr. Montalivet pozostawił ciekawe pamiętniki, odnoszące się do ostatnich lat restauracji i całego panowania Ludwika Filipa: pamiętniki te ukażą się publicznie jeszcze w ciągu roku bieżącego staraniem pana Guyot de Villeneuve.

## Nauka

*** Panna Anna Tomaszewiczówna, doktor medycyny uniwersytetu zurychskiego, złożyła jak nam donoszą z Petersburga, przepisany egzamin, upoważniający ją do zajmowania się praktyką lekarską w Królestwie i Cesarstwie, i wmiesiącu lutym zamierza osiąść w Warszawie dla zajęcia się praktyką.

Witamy z prawdziwem uznaniem ten nowy objaw pracy niewieściej.

*** Petersburg, cesarskie towarzystwo geograficzne zamierza wydać, z okazji trzechsetletniej rocznicy zajęcia Syberji, opis ogólny tego kraju z kartami i planami.

*** Paryzka „Liberté" ogłasza cztery konkursa, na które ofiarował 100,000 franków Izak Pereire. Fundusz ten ma posłużyć za nagrodę dla dzieł traktujących o środkach usunięcia nędzy klas niższych. Pierwsze pytanie dotyczy wytępienia pauperyzmu. Dalsze pytanie mają traktować: rozwinięcie oświaty wszelkich stopni, organizację kredytu dla wszystkich klas społeczeństwa, urządzenie kas pomocy dla robotników. Pierwsza nagroda wyniesie 10,000 franków, druga 5,000 a trzecia 2,500. Rozprawy należy przesyłać opieczętowane do redakcji „Liberté w terminie ostatecznym do 31 grudnia r. b.

*** W Londynie książę Walji otworzył uroczyście przy wielkim współudziale publiczności instytut Alberta, przeznaczony dla towarzyskiego kształcenia rękodzielników i robotników.

*** W Nancy, w miesiącu sierpniu r. b odbywać się będą obrady międzynarodowego kongresu geograficznego.

*** Paryzką katedrę historji religijnej objął Albert Reville, znany z prac pomieszczanych w czasopiśmie „Revue des deux mondes".

*** Wykopaliska na wyspie Milo. „Messager d'Athènes" podaje następującą ciekawą archeologiczną wiadomość o trzech statuach, które przed dwoma laty odkryte zostały na wyspie Milo niedaleko miejsca, na którem odkryto znajdującą się obecnie w Louvre Wenus z Milo, i statuy te mają być wystawione teraz na widok publiczny w Atenach. Chodzi o trzy ogromne statuy, pisze dziennik ateński, nabyte przez rząd grecki. Trzy te statuy przywiezione do muzeum w Atenach, znajdują się jeszcze w pakach, gdyż nie wyznaczono jeszcze dla nich odpowiedniego miejsca. Trudno byłoby dokładny wydać sąd o estetycznej wartości tych rzeźb; ci, którzy widzieli je w Milo, twierdzą, że należą one do najpiękniejszej epoki sztuki greckiej. Największa i najlepiej zachowana statua uważaną jest za arcydzieło; brak jej tylko palców u rąk i nóg; przedstawia ona nagiego aż do pasa Neptuna; reszta ciała otoczoną jest mistrzowskiej roboty zasłoną. Przy bożku tym znajduje się delfin; przypuszczają, że Neptun trzymał w jednem ręku trójząb, którego dziś nie ma. Statua jest połamaną w różnych miejscach Kiedy ustawioną będzie na podstawie, stanie się najpiękniejszą ozdobą muzeum. Rząd zakupił te trzy statuy za 28,000 drachm i zastrzegł sobie prawo robienia dalszych poszukiwań w sąsiedztwie miejsca odkrycia.

## Prasa perjodyczna.

*** „Gazeta Warszawska" podaje następującą notatkę: „Prasa prowincjonalna polska w Królestwie, jeżeli nie liczyć wydawnictw urzędowych, jakiemi np. były „Dzienniki departamentowe", wychodzące od roku 1812, zaczyna swój żywot od pojawienia się „Dostrzegacza Lubelskiego" w roku 1816. Za nim poszły: „Pamiętnik Lubelski" r. 1817, „Dziedzilia" w Płocku r. 1824, „Pamiętnik Sandomierski" r. 1829 i inne. Wszystkich tych pism perjodycznych żywot był bardzo niedługi. W przerwie czasu między rokiem 1832 a 1865 ukazało się tylko w roku 1848 pismo zbiorowe „Radomianin" i na tem się skończyło. Dopiero w roku 1865 znów hasło do ruchu dał Lublin, w którym wydawać poczęto „Kurjera Lubelskiego", w roku zaprzeszłym zlanego z młodszą od niego „Gazetą Lubelską". Obecnie istnieje w Królestwie pięć czasopism prowincjonalnych polskich. Dwa najstarsze: „Kaliszanin" i „Gazeta Kielecka" sięgają początkiem swoim roku 1870, pozostałe: „Korespondent Płocki", „Tydzień piotrkowski" i „Gazeta Lubelska" po tamtych dopiero powstały. „Kaliszanin", założony przez p. Adama Chodyńskiego, w dniu 4 tym b. m. obchodził dziesiątą rocznicę swego żywota."

*** W Paryżu ukazało się nowe pismo dla dzieci p. t. „Le Saint Nicolas".

## Sztuki piękne.

*** Stara Baśń, J. I. Kraszewskiego, ilustrowana przez Andriollego, należy do pięknych produkcji naszego rysowniczego ołówka. Artysta, będąc, jak wiadomo, mistrzem efektów, chociaż nie wyszedł z granic swej maniery, jednakże stworzył dwadzieścia cztery rysunki, pomiędzy którymi są bardzo piękne. Zwłaszcza rzeczy malownicze, odbywające się na tle dzikiej przyrody, w głębiach puszcz posępnych, udały sie niepospolicie p. Andriollemu, który umiał się zastosować do poważnego legendowego nastroju powieści. Ze względu na charakter przedmiotu można mu też przebaczyć pewną przesadę w konturach i zbytnią jaskrawość kontrastów, w którą wpadł, starając się o wywołanie legendowej grozy i powagi. Całość sprawia wrażenie do pewnego stopnia jednolite i nacechowana jest charakterem pierwotnej siły i dzikości, dającym szerokie pole do polotu fantazji artysty, który w scenach posępnych i krwawych umiał być dramatycznym. Rozmaitość tematów przy jedności traktowania i bogactwie fantastyczności pomysłów, sprawiają wrażenie bardzo korzystnie zalecające te piękne rysunki.

*** W Warszawie otwartą zostanie w niedługim czasie czasowa wystawa obrazów starożytnych, na korzyść szkoły dla biednych dziewcząt, znajdującej się przy ulicy Hożej.

Wyborem dzieł sztuki, mających być pomieszczonemi na tej wystawie, zajął się szambelan Cyprjan Lachnicki, część zaś gospodarczą i administracyjną objął pan Kazimierz Dobiecki.

*** „Chrystus w Kafarnaum", wielkie nadzieje budzące płótno Maurycego Gotlieba, znalazło nabywcę.

*** Jak wiadomo zmarły przed dwoma laty słynny malarz Courbet skazany został przez sądy francuskie na zapłacenie 323,490 fr. za zburzenie kolumny „Vendome". Na zasadzie tego wyroku rząd francuski kazał skonfiskować 9 skrzyń złożonych przez Courbeta u jeduego z jego przyjaciół w Besançon. Skrzynie te złożone zostały w składach rządowych. Obecnie z powodu likwidacji pozostałości majątkowych Courbeta zostały skrzynie otwarte w obecności spadkobierców zmarłego. Lecz okazało się niestety, że złożone w skrzyniach liczne olejne obrazy i rysunki w części pędzla Courbeta, w części innych znanych artystów pokryły się pleśnią i wskutek wilgoci w pewnej mierze uległy zniszczeniu. Urzędnicy zarządu finansów nie zważając na zawartość owych skrzyń umieścili je w wilgotnym składzie, gdzie pozostawały przez rok jeden. Straty z tego powodu są bardzo znaczne a spadkobiercy Courbeta zamierzają wystąpić z kontraprocesem przeciw rządowi.

*** W Brigge otwartą została „wielka międzynarodowa wystawa sztuk pięknych" a trwać będzie do 8. lutego 1880 r.

*** „Echo muzyczne" donosi, iż firma Kistnera w Lipsku ogłasza na rok 1880 wydanie dzieł Szopena, poprawione całkowicie przez Karola Mikulego, dyrektora Towarzystwa muzycznego, a zarazem jednego z najlepszych uczni i wykonawców dzieł zgasłego mistrza.

Znakomity krytyk Bank polecając w „Signale" to wydawnictwo, nadmienia, iż Mikuli miał w swem posiadaniu wiele kajetów dzieł Szopena z własnoręcznemi notami mistrza i uwagami, czem się M. znacznie posiłkował.

## Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W gronie warszawskich poważnych obywateli powstał projekt zorganizowania na szeroką skalę pomocy dla biednych warszawskich, przy zupełnem usunięciu publicznego wszelkiego rodzaju żebractwa. Fundusze na wspieranie nędzy mają pochodzić z pewnego rodzaju podatku, płaconego przez wszystkich bez wyjątku mieszkańców Warszawy. Przy dalszem rozwinięciu projektu podamy o nim bliższe szczegóły.

*** Nowe stowarzyszenie w Wiedniu „Przytulisko Polskie" ukonstytuowało się już. Honorowym prezesem i protektorem wybrano księcia Konstantego Czartoryskiego, wiceprezydenta izby panów, przewodniczącym dra Pawła Dunieckiego, członkami wydziału pp.: Gawlikowskiego, Warchułowskiego, Genstalera, dra Winnickiego, Altenburga, Górskiego, Soleckiego i Musiała. Prócz „Przytuliska Polskiego" istnieją tu jeszcze dwa inne polskie stowarzyszenia, a mianowicie: stowarzyszenie polskich akademików „Ognisko" i „Zgoda".

*** W wielu miejscowościach Ameryki potworzyły się komitety pomocy dla cierpiących głód Ślązaków.

*** We wsi Gołębiach, pod Puławami, wprowadzonymi zostały odczyty dla ludu przy miejscowej szkółce wiejskiej. Pomysł to szczęśliwy bardzo i zasługuje na to by licznych znalazł naśladowców.

*** Berlińskie dzienniki konserwatywne zapowiadają, iż przygotowany jest szereg petycyj, domagających się zniesienia ślubów cywilnych, a przynajmniej przekształcenia ich z przymusowych w dowolne.

*** Krystyna Nilson ofiarowała za pośrednictwem arcybiskupa madryckiego 22,000 realów na rzecz powodzian hiszpańskich.

*** Warszawskie towarzystwo opieki nad zwierzętami na ostatniem odbytem posiedzeniu uchwaliło jednozgodnie wprowadzenie w czyn projektu założenia kliniki dla zwierząt w najruchliwszej stronie miasta, w okolicy Banku Polskiego. Opracowanie powyższego projektu powierzonem zostało przez zarząd towarzystwa jednemu ze zdolnych panów lekarzy weterynarji, potrzebne zaś środki materjalne zebrane będą prawdopodobnie z jednorazowych na ten cel wkładów członków towarzystwa i osób prywatnych.

*** Z Penzy piszą do gazety „Wostok", że według sprawozdania biskupa Jerzego w djecezji penzeńskiej blisko 16,000 wyznawców wiary katolickiej obrządku wschodniego przeszło na łono sekt różnych, które w okolicach tych coraz większą liczbę zwolenników znajdują.

*** Zysk czysty z loterji liczbowej w r. 1878 wyniósł w Austrji 8,172,377 guldenów czyli o 804,207 guldenów mniej niż w roku 1877.

*** Dobrze znane angielskie ceglano-czerwone marki pocztowe zastąpione zostaną markami jaśniejszej barwy, w celu przeszkodzenia myciu i powtórnemu sprzedawaniu starych marek; przy drukowaniu ich użytą będzie farba łatwo puszczająca.

*** Rodzina Kolumba. Na uroczystości zaślubin króla hiszpańskiego obecnym był potomek Krzysztofa Kolumba, Don Diego Kolumb, szambelan króla. Prócz tego potomka jest jeszcze dwóch przedstawicieli sławnej rodziny, mianowicie: Ferdynand Kolumb, poseł w Porto-Rico i Krzysztof Kolumb de la Carda, margrabia w Jamaice, sprawujący urząd admirała i gubernatora w Indjach wschodnich.

*** Proces rozwodowy Garibaldiego z panią Raimondi został rozstrzygnięty w sądzie apelacyjnym w Rzymie. Reprezentanci pani R. oświadczyli, że zgadza się ona na motywa unieważniające małżeński jej związek z generałem.

*** Pieczara „Mamouth-Care" w Stanach Zjednoczonych, nabyta niedawno przez towarzystwo kapitalistów za 200,000 dolarów, wzbudza zachwyt i podziw turystów. Nowi nabywcy zamierzają na rzece płynącej pod ziemią w tej pieczarze, urządzić przejażdżki na łódkach. W jednej z wielkich sal pieczary, znajdującej się o 7 mil angielskich od wejścia, urządzoną być ma restauracja, z której za pomocą telegrafu porozumiewać się będzie można ze światem zewnętrznym. Podczas lata olbrzymie sale Mamouth-Care oświecane być mają za pomocą lamp elektrycznych.

*** Caritas militans. Ludność paryska od lat 18 mniej więcej pod względem liczby nie zmieniła się i wynosi około 2 milionów mieszkańców. Wedle urzędowych obliczeń mieści się w liczbie tej 113,000 biedaych. W ostatnich jednakże czasach dodać na-

leży liczbę podupadłych robotników i w ogóle ludzi żyjących z bieżącego zarobku, a podupadłych zupełnie w skutek zeszłomiesięcznego mrozu; z tymi liczba biedaków wynosi około 200,000. Wśród podobnych okoliczności łatwo pojąć, że głównym przedmiotem rozmów i rozpraw dziennikarskich jest „nędza“ i „miłosierdzie“. Ta ostatnia przybrała szczególnego rodzaju formę, którąby nazwać można „caritas militans“, miłosierdzie wojujące. Miejskie dobroczynne urzędy, które dawniej spoczywały w rękach antirepublikanów i duchownych, od niejakiego czasu z rąk tych ostatnich się wysunęły. „Figaro“, należący do pobożniejszych, — co zresztą zepsucia nie wyklucza — apelują do „dobrze myślących“. — A wskutek wezwania tego pozyskuje dla biednych 800,000 fr. Pieniądze te płyną wciąż z ewangielicznej miłości, lecz bardziej jeszcze z politycznej opozycji. Tak więc pieką się dwie pieczenie przy jednym ogniu — dobroczynności i demonstracji. — W listach codziennie w „Figarze“ zamieszczanych znajdujemy wszystkie legitymistyczne nazwiska, z nazwiskiem pierwszego we Francji szlachcica, na czele, hr Chambord, który ofiarował 8000 fr. Nietylko, naturalnie, obozy kościelnie myślących występują z darami dla biednych, występują także czerwoni i republikanie. Izba zawotowała 5 mil. fr., przeważnie dla prowincji; rada miejska 400,000 fr., p. Hérold, prefekt Sekwany, 250,000 fr. z prywatnych źródeł, „Petit Journal“ 150,000 fr.; dziennik ten pomaga bezpłatnie biedakom wykupywać zastawioną pościel i t. d. Niech więc żyje konkurencja! Jest ona nietylko „the soul of business“, ale także duszą publicznego miłosierdzia. Miliony, ofiarowane z zawiści, niemniej pokrzepią biedaków. Prócz tego wszędzie urządzono ogrzewalnie. W ogrzewalni, urządzonej przez „Figaro“, wywieszono napis: „Podniecające rozprawy i czytanie politycznych gazet nie dozwala się“.

*** Mormoni w Austrji. Według „N. Wr. Tgbl.“ mormoni zaczęli także propagandę swoją w Austrji. Kilku naczelników okręgów w Niższej Austrji i Czechach ogłosiło proklamacje wymierzone przeciwko ajentom „świętych“ z Utah wysłanym do Austrji dla uwodzenia dusz. W proklamacjach tych zawierają się także objaśnienia o całem stowarzyszeniu religijnem mormonów. Okazuje się dalej z nich, że poselstwo Stanów Zjednoczonych w Wiedniu zawiadomiło austrjackie ministerium spraw zagranicznych o tem, że mormoni wysłali tak do wszystkich państw Europy jak i do Austro-Węgier licznych ajentów dla werbowania prozelitów do szczególniejszego rodzaju kościoła „świętych“ i namawiania uwiedzionych do emigracji do stanu Utah. Równocześnie prosił poseł amerykański, ażeby wszelkiemi środkami oparto się propagandzie wysłanych ajentów. Władze polityczne ostrzegają zatem, ażeby się miano na baczności wobec przeciwnych prawu insynuacji ajentów mormońskich i zawiadamiają dalej, że wielożeństwo przyjęte za dogmat wiary przez mormonów zagrożone zostało surowemi karami przez władze krajowe, a niedawno także uznane za zbrodnię przez najwyższy trybunał rzeczypospolitej amerykańskiej. W proklamacjach władz austrjackich zagrożeni są surowemi karami nietylko ajenci mormońscy, ale także ci wszyscy, którzy posłuchają ich namowy.

## Handel i przemysł.

*** W roku przyszłym odbędzie się krajowa wystawa szlązka; komitet rozpoczął już swoją działalność.

*** Rząd rosyjski udzielił panu Siewenowi koncesję na budowę drogi żelaznej z Simokhi do Willmanstrand w Finlandji.

## Statystyka.

*** W austrjackiem „Statistische Monatsschrift“ M. Schimmer podaje liczbę uczących się w gimnazjach i wykazuje, że w ciągu 1849—1878 roku, na sto rozpoczynających nauki w gimnazjach, ukończyło (średnio) takowe 30.

Stosunek ten kilkakrotnie się zmniejszał i w 1873 roku zeszedł do minimum, gdyż w tym roku tylko 22 ukończyło nauki na 100 rozpoczynających.

*** Statystyka miast w Japonii. Z urzędowego sprawozdania japońskiego ministra oświaty dowiadujemy się, iż w całym Niponie jest tylko pięć miast, których ludność przewyższa 100,000, a mianowicie: Tokio czyli Jeddo, liczące 585.905 mieszkańców, Oosaka 271,292, Kioto 238,603, Nagara 125,195, Kanazara 109,850. Miast mających ludności od 20 do 30 tysięcy jest 41, liczących zaś więcej niż 1000 mieszkańców 566.

## Zjawiska przyrody.

*** W węgierskiem mieście Kremnie, zbudowanem nad kopalniami, popękało dużo domów wskutek usuwania się pokładów ziemnych; spodziewają się tam lada chwila wielkiej katastrofy, ponieważ komisja złożona z rzeczoznawców orzekła, że całe miasto zapaść się może pod ziemię.

*** W Marsylji skonstatowano lekkie trzęsienie ziemi, trwające około minuty.

---

# Hansen o Bismarcku.

Mało jest ludzi, ktorzyby już za życia swego byli przedmiotem tylu studjów, co dzisiejszy kanclerz niemieckiego państwa.

Objaśnić to wcale nie trudno.

Cokolwiekby o Bismarcku powiedzieli jego apologiści i śmiertelni nieprzyjaciele, bezstronność nakazuje wyznać, że należy on bezsprzecznie do wybitniejszych jednostek swojej epoki.

Jego talenta polityczne, śmiałość i przedstębiorczość, wreszcie szczęśliwa gwiazda, która mu dotąd nieprzyciemnionym wcale blaskim płonie, a która roztoczyła nad całem państwem niemieckiem światło *materjalnej* siły, wszystko to razem wzięte, nietylko bezmyślnym czcicielom powodzenia każe przed nim schylać głowę.

Świat widzi w nim wcielenie przymiotów niezbędnych dziś do rządzenia, więc nie dziw, że zajmuje się nim więcej, niż nie jednym genjalniejszym od niego człowiekiem, który przecież pracuje w cichości i wyniki tylko nieprzespanych nocy swoich wyprowadza na światło dzienne.

Bismarck pracuje głośno, na jasnym dniu, a pracę tę widzi i odczuwa każdy, kto tylko w społeczeństwie żyje i ma oczy.

O Bismarcku różnie różni pisali: źle i dobrze.

Gdyby złączyć w jedną księgę to co wyszło z pod pióra jego wielbicieli i nieprzebłaganych krytyków, po przeczytaniu tej księgi powstałby większy bigos w umyśle, niż po pochłonięciu jednym tchem: «Tysiąca i jednej nocy».

Ale bo też przez tę niepospolitą głowę przesunęło się więcej kombinacyj i myśli, niż w fantazji bujnej księżniczki wschodniej zrodziło się zaczarowanych obrazów.

Jednym z ostatnich pisarzy, który żelaznego księcia wziął za przedmiot swoich badań, jest Hansen.

Hansen, ciekawa to osobistość.

Jest on z pochodzenia Duńczykiem, znaczną jednak część życia przepędził po za granicami swego kraju, badając stosunki polityczne innych narodów i przyglądając się z bliska ludziom stojącym dziś na świeczniku.

Dla Bismarka nie czuł on nigdy szacunku, ale i nie żywił względem niego uprzedzeń, choć do tego jako Duńczyk, któremu kanclerz niemiecki zabrał Szlezwig, miał bezsporne prawo.

W jednej z podróży swoich zagranicznych, nastręczyła mu się sposobność zbliżenia do kierownika polityki pruskiej.

Nietylko że nie pominął tej sposobności, ale owszem korzystał z niej jak najczęściej; widywał Bismarka wielokrotnie, rozmawiał jak mógł najdłużej — i kiedy się nareszcie z nim rozstał, doszedł do przekonania, że go poznał dobrze.

Nie ukrywając zdobytego światła pod korcem, pragnął owszem roztoczyć jego promienie — wynikiem tej chęci jest dzieło, które właśnie wydaje w stolicy Francji.

Tytuł tego dzieła: *„Coulisses de la diplomatie“*.

Pozwolimy sobie zapoznać czytelników z charakterystyką Bismarka, wyjętą z dzieła tego.

Dajemy głos panu Hansenowi:

«Gdyby Europa — mówi on — znała była lepiej tego człowieka, nie byłby on odniósł tryumfu, ani nad Danią w 1864 r., ani nad Austrzją w 1866 r., ani wreszcie nad Francją w latach 1870—1871.

«Ale na szczęście... nie był on jej dostatecznie znanym.

«Nikt nie przypuszczał, że może jeszcze znaleźć się taki, który ośmieli się bezceremonjalność, podstęp i niewdzięczność, panujące dwieście lat temu w stosunkach większości państw europejskich, przenieść w drugą połowę XIX wieku.

«Odkrycia La Marmory dosadnie przekonały o tem.

«Ale dyplomaci świata zbyt późno przejrzeli na oba oczy i zaprzeczyć się nie da, że znajdując się w stosunkach z Bismarkiem, nie stali oni na wysokości swojego powołania; temu też to, a nie czemu innemu zawdzięcza on swoje dotychczasowe powodzenia».

Dalej p. Hansen powiada, że kanclerz niemiecki jest osobistością namiętną i nie przebaczającą uraz: nie przebierając w środkach, zmierza on jak najprostszą drogą do celu, a napotkane na swej drodze przeszkody usuwa lub obala.

«Znaną jest dobrze światu jego mściwość, z jaką prześladował swojego przeciwnika politycznego hr. Arnima, a której zmiękczyć nie mogły nawet nieszczęścia tego biednego starca.

Mściwość ta każe mu, wedle duńskiego pisarza, państwa i narody karać za urazy do jednostek».

Dalej znów mówi Hansen:

«Ci, którzy z uwagą śledzą za biegiem polityki zagranicznej księcia Bismarka, musieli niezawodnie zauważyć, iż postępowanie jego z państwami ościennemi jest odbiciem jego osobistych uczuć.

«Tak np. polityka przeciw-austrjacka w 1866 r. miała na celu nietylko zrobienie z Prus Cesarstwa niemieckiego, ale nadto zemstę nad Austrją za zniewagi, jakich osobiście doznał od tego mocarstwa, podczas sławnego sejmu w Frankfurcie.

«Następnie, oziębienie stosunków z księciem Gorczakowem wywołane zostało przez znane zajścia dyplomatyczne w 1875 roku».

I dalej:

«Podobnież się rzeczy mają z polityką wewnętrzną Bismarka; nie może on nigdy przebaczyć urazy i prześladuje swoich nieprzyjaciół ze straszną zaciekłością, bez względu na to, na jakim szczeblu drabiny społecznej są oni postawieni.

«Tak, znaną jest ta sprawa biednych szwaczek, skazanych przez sądy na kary za obrazę kanclerza.

«Nadewszystko też nieprzepuszcza on dziennikom.

To też liczba procesów karnych, wszczętych z jego rozkazu przeciwko dziennikarzom, dochodzi w Niemczech do trzech tysięcy!

«Niedość na tem; wszyscy ci przestępcy polityczni, z polecenia Bismarka, traktowani są w więzieniach w sposób prawdziwie nieludzki.

«Przyjęto za zasadę, że są oni tam pomięszani ze zwykłymi zbrodniarzami i używani do robót mało zgodnych z ich poprzedniem zajęciem.

«Tak to księża, dziennikarze i szlachta zmuszani są do prac mozolnych, a wcale dla nich nie odpowiednich».

Dotąd Hansen.

Jak widzimy, sąd to surowy i nieco za bezwzględny.

Nadewszystko, pisać się trudno na zdanie, że cała zagraniczna polityka Bismarka opiera się na jego sympatjach i antypatjach.

My owszem przeciwnie sądzimy.

Książę kanclerz niemiecki jest, zdaniem naszem, politykiem realnym aż do ostateczności i wszystko co robi, robi dla tego, że mu tak a nie inaczej nakazuje robić interes, nie uczucie, — ale mimo to posiada on wady, które mu pisarz duński wytyka i to w stopniu, mogącym nawet cień rzucać na jego bezsprzeczne przymioty.

Pod tym względem Hansen się nie myli i wydaje o człowieku tym sąd taki, jaki o nim bezzawodnie wydanym będzie, kiedy stanie on nareszcie po swej burzliwej pielgrzymce życiowej przed najwyższym trybunałem ziemskim: przed trybunałem historji.

---

## Treść Nr. 4.



Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.